schronzin

postnuklearny magazyn trzynastego schronu

2020

#9

NIEWOLA

ISSN 2545-2312

TRZYNASTY-SCHRON.NET

SPIS TREŚCI

Niewola genów.....4
Blood drive 6
Ci źli fanowie Gwiezdnych Wojen 8
Kowloon Walled City.....10
Prosimy się cofnąć do przodu.....12
Większy zjada mniejszego.....14
Re Kreator.....16
Zniewoleni.....19
Tyrania bezpieczeństwa.....21
Szczęście w niewoli.....29

ILUSTRACJE

www.smartage.pl - str. 9
mediawprlu.blogspot.com - str. 12
heritageComics.com - str .15
Demotrywatory.pl - str. 19
Krzysztof Kulesza, www.fotelstudio.com - str. 34

Reszta ilustracji jest własnością intelektualną redakcji lub znajduje się na licencji publicznej, bez podawania autorstwa.

REDAKCJA

Konrad „*Veskern*" Ochniowski
redaktor 13S

Jerzy „*Jerzy*" Kubok
redaktor 13S

Janusz „*nie wiem*" Zieliński
redaktor naczelny „Schronzina"

Kacper „*RodrriK*" Kandora
redaktor 13

Tomasz „*Stary Wujek*" Tytłak
redaktor 13S

Kamil „*Wrathu*" Kwiatkowski
redaktor 13S

Maciej „*Hammer*" Kowalski
redaktor 13S, zaginiony naczelny, edytor numeru

„pucka"
projekt graficzny okładki

INFO O NAS

Kim jesteśmy? Formalnie: kilkunastoosobowym, zarejestrowanym stowarzyszeniem. Grupą fanów płacących składki, by utrzymać przy życiu swoje dzieło, istniejący od 1999 roku „Trzynasty Schron".

Wyrośliśmy z Fallouta, choć z niego się nie wyrasta. Pozostanie na zawsze w żywej pamięci, ileż jednak można wciąż o tym samym? Naturalnym ruchem było rozszerzenie tematyki w stronę postapokalipsy, czyli popkulturowego katastrofizmu, co okazało się strzałem w dziesiątkę i zaowocowało „złotym okresem". Dziś to za mało. W internetowej komunikacji zmonopolizowanej praktycznie przez korporacyjne wynalazki nie ma miejsca dla niszowych, fanowskich stron. By przetrwać trzeba karmić Molocha, a nie każdy ma ochotę. Stąd romantyczna z gruntu próba wyrwania się z internetowej bańki dzięki Schronzinowi, który ma także niewielki, drukowany nakład. Porywanie się z motyką na Słońce? W świecie, w którym obawa przed apokalipsą przenika do realnego życia – niekoniecznie. A przynajmniej taką żywimy nadzieję.

WSTĘPNIAK

„Gdyby ciężka praca prowadziła do bogactwa, to najbogatsi byliby niewolnicy."
Witold Wójtowicz.

Niewolnik. Co widzisz, czytając to słowo? Czarnoskórego, spoconego i muskularnego mężczyznę pracującego na polu bawełny? Rzymskiego obywatela ucztującego w półleżącej pozycji, otoczonego przez masę wychudzonych służących? A może przypominasz sobie ilustrację z podręcznika do historii albo jeden z tych pompatycznych filmów o walce o wolność? Nieważne, jaki obraz maluję ci się w głowie, zawsze osadzony jest przeszłości.

Dlaczego? Bo to już było. Bo jest coraz lepiej. Bo Deklaracja Praw Człowieka. Bo ONZ. Bo mamy XXI wiek. Niewolnictwo było kiedyś, teraz przecież mamy wolność i demokrację. Prawda? Nieprawda. Dziś niewolników jest więcej niż kiedykolwiek wcześniej w historii ludzkości. Pomimo setek lat walki, licznych organizacji charytatywnych, deklaracji, ustaw i polityków. Niewolników jest więcej z roku na rok, a ich warunki życia wciąż się pogarszają. Jedyne co udało się naszej cywilizacji poprawić, to zamiatanie tego syfu pod dywan...

Kacper „Rodrrik" Kandora - czytaj dalej - „Zniewoleni" - str. 19

Popkulturowy potencjał hasła niewolnictwo – te wszystkie Mad Maxy, gladiatorzy, igrzyska śmierci, a z drugiej strony –uzależnienia, korporacje i dyktatury – wydawał się nieograniczony. Czyste postapo. A jednak niewiele artykułów numeru mieści się w tym zakresie. Nie poszliśmy po linii najmniejszego oporu. Czy to dobrze? Nie wiem, nie mogę wypowiadać się za czytelników. Piszemy o czym chcemy, więc musi być jak jest.

W numerze: obszerne kazanie Jerzego - „Tyrania bezpieczeństwa" - o wychowaniu, czyli preparowaniu młodego pokolenia w imię świętego spokoju i tytułowego bezpieczeństwa. ReKreator – przewrotne opowiadanie Starego Wujka o parafarmaceutykach i „zdrowej" żywności, uzupełniony refleksjami innych redaktorów. Recenzja serialu „Blood Drive" – gdzie benzynę robią z krwi – Roddrika oraz (także jego) recenzja albumu Dezertera, artykuł programowy o współczesnym niewolnictwie i tekst o wolnej społeczności, która była wrzodem na tyłku władz Hongkongu. O (nie)przepraszaniu też napisał. Napracował się niczym niewolnik, a wdzięczności nie doczekał.

Wrathu zajął się największymi wrogami wolności, czyli szczęśliwymi niewolnikami. Numer uzupełniają artykuły Veskerna i nie wiema. Pierwszy zastanawia się dlaczego obecni twórcy „Gwiezdnych wojen" tak nie lubią swoich najwierniejszych fanów, a drugi napisał (jak zwykle) nie wiadomo o czym. Za to w jakim stylu!

Okładka wykonana przez **Puck'ę,** numer złożony przez Pierwszego oficjalnego Schronowego Psujmajstera!

Jerzy *„Jerzy"* Kubok

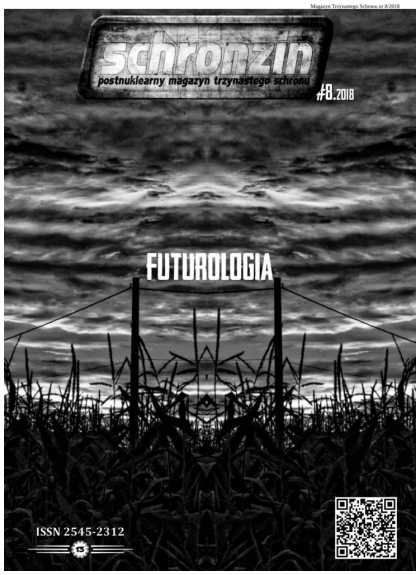

Poprzedni numer #8

Następny numer #10

NIEWOLA GENÓW

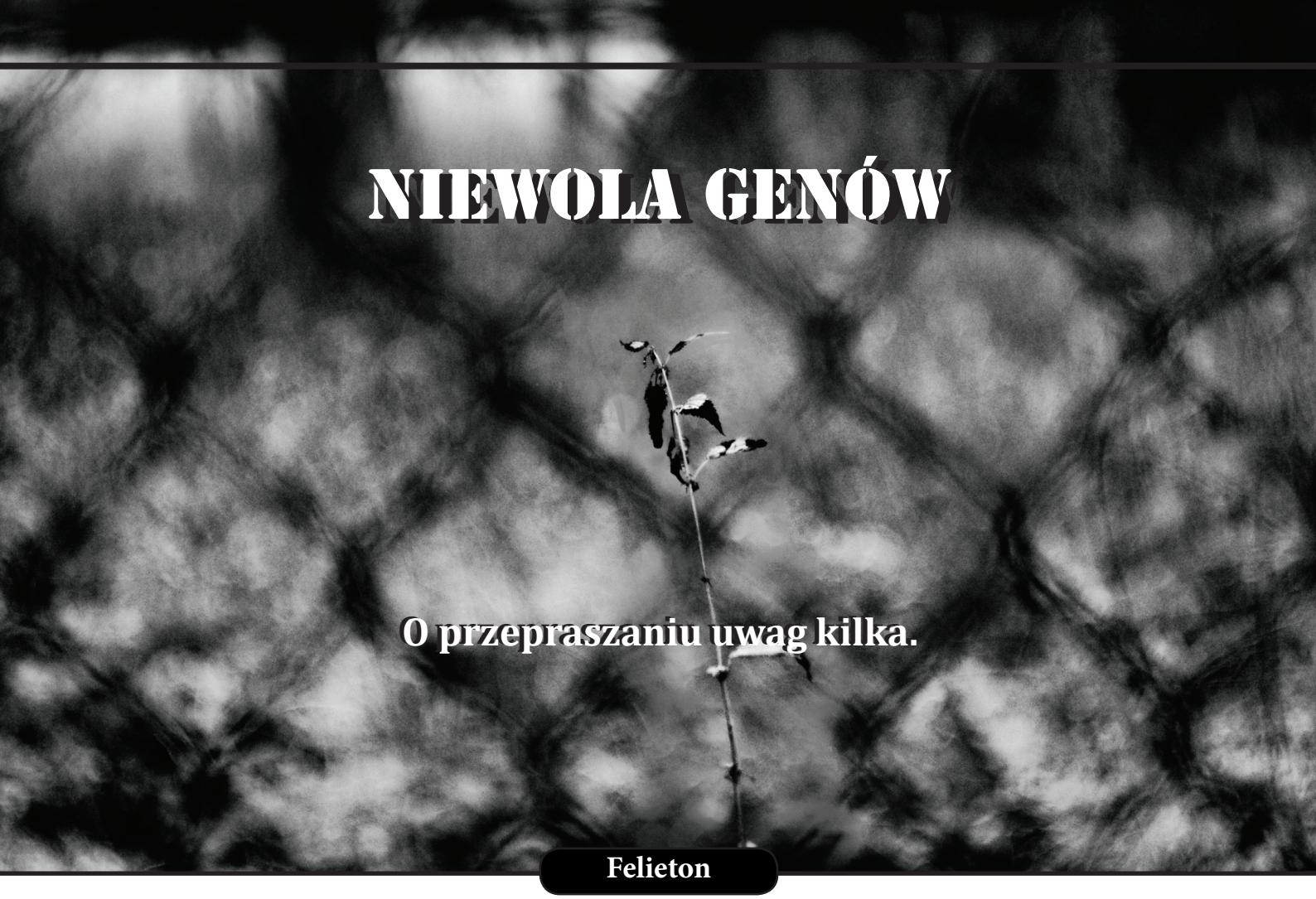

O przepraszaniu uwag kilka.

Felieton

Jak często zdarza ci się czytelniku powiedzieć „Przepraszam". Tak po prostu. Bez dodania „ale" bez „To nie ja"? Nie tłumacząc się, bez szukania czynników łagodzących, bez obarczania winą wszystkiego prócz siebie? Jak często po wypowiedzeniu przez zaciśnięte zęby tego tak bogatego emocjonalnie słowa, stwierdzisz „Taki już jestem". „To przez wychowanie", „Miałem trudny start". Dlaczego jest nam tak trudno przyznać się do błędu? Od zawsze. Tysiące lat temu, kiedy spisywano biblijną przypowieść o początku ludzkości, wierząc temu sprawozdaniu, pierwszy mężczyzna miał obarczyć winą swą żonę, za czyn który sam popełnił.

Zrzucanie z siebie winy to nie tylko tendencja dzisiejszego społeczeństwa, bo choć prawdą jest, że żyjemy w erze coraz większych swobód, a coraz mniejszej odpowiedzialności, to zwyczaj ten towarzyszy nam od początku historii naszego gatunku. Jeśli nawet szanujemy innych na tyle, by nie obarczać ich swoją winą, jeśli nawet nie uważamy się za lepszych od innych, to źródła naszych porażek, zawodów i czynów szukamy w rzeczach poza naszą kontrolą. W przeznaczeniu, spisanym z góry losie czy genach. By oczyścić się z moralnej winy, potrafimy zdegradować się do roli umysłowego niewolnika, który nie ma wpływu na swoje czyny.

Szukamy źródła zaburzeń zachowania, agresji, alkoholizmu, preferencji seksualnych czy skłonności sadystycznych w genach. Ilu z nas odetchnęłoby z ulgą, gdyby dowiedziało się, że nie mamy wpływu na własne postępowanie, a jesteśmy ofiarami własnego ciała, własnych genów? Niesamowite jest to, że aby nie czuć moralnych wyrzutów potrafimy oddzielić od siebie własne ciało, przerzucając na nie swoje winy, i cieszyć się z braku wpływu na swoje postępowanie. Aby tylko nie wziąć odpowiedzialności za siebie potrafimy postawić się w roli niewolnika niemającego wpływu na swe kroki. Odpowiedzialność jest fundamentem, podstawą wolności. Jeśli nie mamy wpływu na swoje postępowanie, to nie jest one nasze. Dlaczego więc tak chętnie pozbywamy się odpowiedzialności?

Zrzucamy winy na przełożonych, czujemy się moralnie czyści, wykonując czyjeś rozkazy, traktując samych siebie jak narzędzia w ręku ... no właśnie kogo? Lepszych od nas? Przerzucamy winę na rodziców, na wychowanie. Na środowisko czy kulturę. Dobrowolnie oddajemy im odpowiedzialność za swoje postępowanie. Oczywiście tylko to złe. Jednak najdziwniejszym jest mityczne rozdzielanie własnej osoby, wolimy uważać, że nasze ciało, nasz mózg działa obok nas, niezależnie od nas, niż wziąć odpowiedzialność za swoje czyny. Czym więc jesteśmy, jeśli nasz umysł i ciało nie jest pod naszą kontrolą?

Staliśmy się dobrowolnymi niewolnikami genów. Nie jesteśmy już podlegli innym. Ruszyliśmy poziom wyżej, jesteśmy podlegli własnemu ciału, to ono decyduje

za nas. A przynajmniej chcielibyśmy, aby tak było. I choć nie mówimy o tym głośno, to naszymi decyzjami pokazujemy, że chcemy być bezradni, bez wpływu na własne kroki. Zapętlamy się w błędnym kole. Bo to właśnie domniemana bezradność jest przyczyną większości naszych problemów. Co jednak istotniejsze, dzisiejsza medycyna daje nam do tego przesłanki. Dr Tadeusz Dobosz, genetyk z Akademii Medycznej we Wrocławiu – „Jesteśmy niewolnikami [genów], ale tylko w połowie. Ta druga połowa to środowisko, wiek, zamożność, a nawet czasy, w których żyjemy". Ogromnie, wręcz arogancko uproszczając, w genetyce funkcjonują dwie szkoły, pierwsza, mówiąca, że liczy się tylko wychowanie i środowisko oraz druga, twierdząca, że silniejszy niż otoczenie jest przekaz genetyczny. I to on rządzi naszym życiem. Obie zgadzają się w jednym. To nie ty decydujesz o swoich czynach. Według obu z nich nie masz wpływu na kształtowanie własnej osobowości. Raz robi to środowisko, raz geny. Nie decydujesz o tym, kim jesteś. Coraz to nowsze badania naukowe straszą nas nagłówkami powstałych na ich podstawie artykułów. „Musimy zdradzać. O skoku w bok nie decyduje świadomość, a wojna między genami wierności i zdrady". „Zidentyfikowano geny odpowiadające za częstsze popełnianie przestępstw", przekonuje Newsweek. Lecz takie nagłówki znajdziemy w prawie każdym tygodniku, czy dzienniku internetowym. Zdrada nie jest już świadomą decyzją, jest genetycznym przymusem. I partner, któremu po latach małżeństwa wali się świat, musi zaakceptować takie wytłumaczenie.

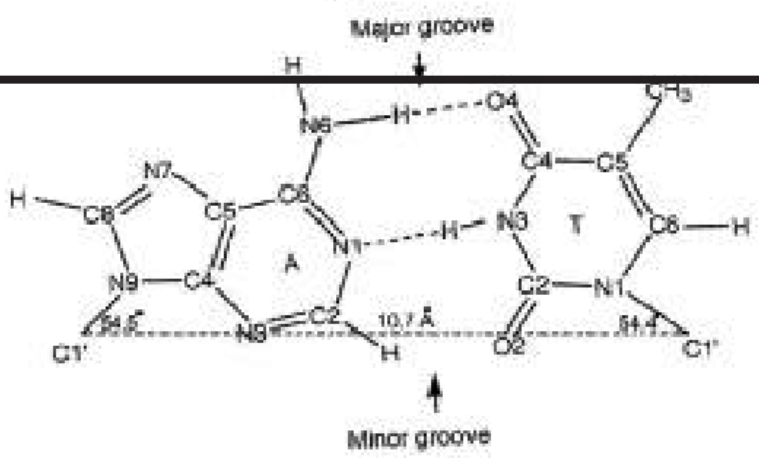

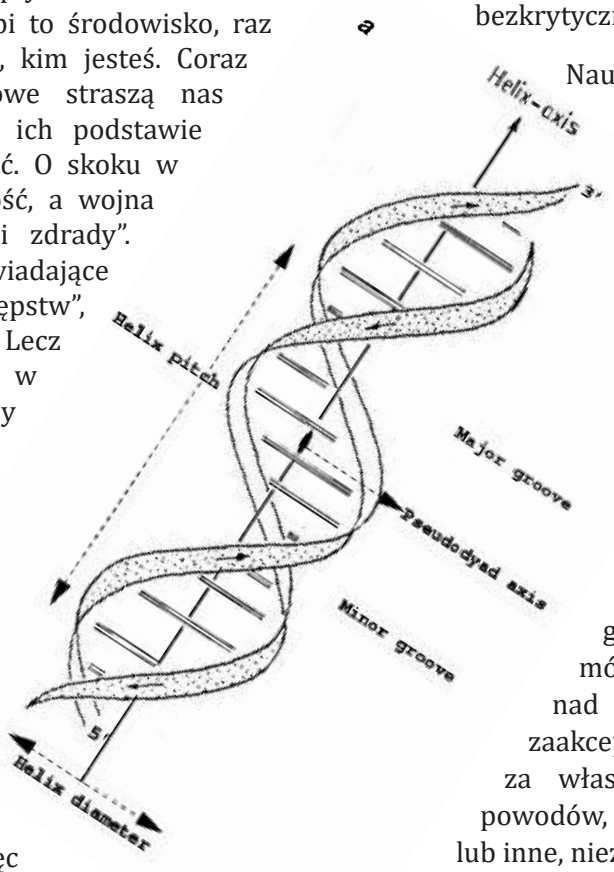

Jeśli posłuchamy więc tez popularnonaukowych, co podpowiada nam zdrowy rozsądek, szybko dojdziemy do wniosku wspólnego z naukowcami, że nasze wady będzie można naprawić. Jak? Czynniki mające odpowiadać za nasze poczynania mogą zostać wyeliminowane dzięki inżynierii genetycznej. Oczywiście tylko te niepożądane. Nie zrzucamy więc tylko naszych win na geny, ale i naprawę swoich czynów pozostawiamy w sferze, na którą nie mamy wpływu. „To nie moja wina, że taki jestem". „Już tego nie zmienię" - to nie wymówki, a podparte naukowymi dowodami argumenty. Problem nie leży jednak tylko po stronie nauki, to my wykorzystujemy jej odkrycia do własnych celów. Kiedy nauka mówi coś, o czym nie chcemy słuchać, argumenty o jej omylności i wadach cisną nam się na usta z naddźwiękową prędkością. Kiedy jednak potwierdza nasze przekonania, potrafimy bezkrytycznie spijać wszystko, co ogłosi.

Nauka nie jest osobnym bytem, tylko dziełem zwyczajnych ludzi. Jej wyniki mają tyle samo wad, tyle samo błędnych diagnoz co jej twórcy. I tak samo, jak im, jej także z trudem przychodzi przyznanie się do winy. Wszystko to prowadzi do sytuacji, w której dobrze nam, z brakiem kontroli nad własnymi nogami. Jesteśmy gotowi zgodzić się z teoriami mówiącymi o braku kontroli nad naszymi czynami, byle by nie zaakceptować odpowiedzialności za własne życie. Wszędzie szukamy powodów, by nasze błędy zwalić na innych lub inne, niezależne od nas czynniki.

Robimy wszystko by nie powiedzieć „Przepraszam". Czemu tak boimy się odpowiedzialności, że wolimy stawiać się w miejscu niewolnika? Oddajemy wolność nie tyle dla wygody, oddajemy wolność dla braku odpowiedzialności. Wypaczonego pojęcia swobody. Bo skoro wszystko, co złe nie jest naszą winą, to dlaczego mamy czuć wyrzuty? Po co nam moralność? Łatwiej powiedzieć „Prowadź mnie" i nie martwić się niczym, niż samemu stawiać kroki.

Łatwiej jest żyć tak by niczego nie żałować, niż przyznać do własnych błędów, i próbować je naprawić. Łatwiej jest być niewolnikiem.

Kacper *„Rodrrik"* Kandora

BLOOD DRIVE

czyli krwawa historia postapokaliptycznego antykorporacjonizmu.

Felieton

Moda na retro osiąga szczyt. A może dopiero rozgrzewa przed całkowitym przejęciem rynku? Filtry VHS na zdjęciach, piksel art i staroszkolne mechaniki w grach. Prequele, remaki i sequele w kinie. A w końcu amatorskie filmy pokroju „Kung Fury", które przebiły się do mainstreamu i pożarły serca internautów. Wszystko to w myśl zasady - „Podobają mi się piosenki już raz usłyszane". Pojawia się więc pytanie, czy wszystkie te produkcje mogą dostarczyć nam czegoś więcej niż tylko nostalgicznej podróży do lat młodości? Wydaje mi się, że „Blood drive" odpowiada na to pytanie. Wydaje mi się też, że jest to odpowiedź twierdząca.
Nowa załoga przy sterach.

Cały serial jest dziełem Jamesa Rolanda, ambitnego milenialsa, który wszedł w świat kina właśnie „Krwawym wyścigiem". Debiutantami są także reżyserzy większości odcinków, a i dla twórcy muzyki to pierwsze prawdziwe dzieło. Jedynie montażyści i dźwiękowcy mieli jakieś doświadczenie zdobyte w marnych filmach telewizyjnych i produkcjach klasy B. Nie można też nie wspomnieć o autorze zdjęć, który pokazał, że pomimo dotychczasowej pracy w średnich filmach niskobudżetowych, potrafi zaczarować widza światem uchwyconym przez obiektyw.

Aktorzy? Powtórka z rozrywki. Christina Ochoa, wcielająca się w główną bohaterkę - Grace d'Argento, miała za sobą rolę tylko w dwóch niezbyt głośnych filmach. Jej partner, Arthur Bailey (Alan Ritchson), pomimo ról w głośnych filmach, nigdy nie grał postaci pierwszoplanowej. Natomiast antagonista (choć to wyrażenie nie jest tak oczywiste) Julian Slink (Colin Cunningham), to aktor wcielający się dotychczas głównie w postacie filmów klasy B lub nawet C. Tutaj, podobnie jak zdjęciowiec, zachwyca, przekreślając swój dotychczasowy dorobek „artystyczny".

Co udało się osiągnąć takiej, pozornie słabej i niedoświadczonej ekipie? To, co wychodzi, kiedy zbierze się grupa osób o otwartych umysłach, wspomagana przez tych, którym już wszystko jedno. Coś nowego i przede wszystkim odważnego.

Czy ziemia ma dla nas niespodziankę?

Twórca serii wykreował świat, w którym na początku lat 90 w wyniku ogromnego trzęsienia ziemi Ameryka Północna zostaje podzielona wielkim pęknięciem, nazwanym później blizną. W jej wnętrzu ukazują się nieznane wcześniej pierwiastki, substancje i organizmy. Natomiast ona sama bardzo szybko oddziałuje na mieszkańców i klimat planety. Ludzie wariują, woda się kończy, surowce drożeją, a rząd targany kryzysem, decyduje się na dziką prywatyzację wszystkich swoich organów. Od służb ratunkowych: straży czy ratowników medycznych, przez policję i wojsko, skończywszy na sądach i prokuratorach. Słowem, raczkująca postapokalipsa.

Naszą protagonistkę poznajemy podczas wymyślnej zasadzki na napalonych młodzieńców w podrasowanych autach - d'Argento decyduje się na napełnienie nimi baku swojego auta. Tak, chyba o czymś nie wspomniałem, dzięki surowcom z blizny, pewnej korporacji udało się

stworzyć bardzo wydajny silnik na ludzką krew. Krew, która szybko stała się tańsza niż ropa. Jej towarzysza spotykamy natomiast na rutynowym pobiciu mieszkańców nadużywających wody. Wraz ze swoim przyjacielem, Christopherem, Arthur jest policjantem, a właściwie tym w co ta organizacja została zmieniona po przejęciu przez korporację Serce. Tę samą, która stworzyła wspomniany już silnik.

Arthur, wraz z partnerem, wpada na trop organizacji wytłaczającej krew z bezdomnych, którzy w ówczesnej Ameryce stanowią większą część społeczeństwa. Dręczony przez sumienie i zasady, jakim kierował się, wstępując niegdyś do policji, udaję się w miejsce rzekomego poboru krwi. Tam zostajemy szybko wciągnięci w tytułowy wyścig krwi. Nie ma czasu, aby zapiąć pasy. Nasi policyjni partnerzy zostają rozdzieleni, a Arthur wciągnięty siłą do udział w wyścigu.

Panowie trafiają w końcu na jego otwarcie, inaczej potoczyć się to nie mogło. Otwarcie, czyli wielka impreza marginesu społecznego, który w tym świecie wychodzi stanowczo poza margines - ćpunów, gangsterów, neopunków czy zwyczajnych szaleńców. Im wszystkim przewodzi Slink. Charyzmatyczny wariat i samozwańczy mistrz ceremonii. Twórca destrukcji, inicjator całego wyścigu i autor jego zasad oraz pan życia i śmierci uczestników. Arthur zostaje partnerem Grace, a wszyscy zostają poddani zabiegowi wszczepienia ładunków wybuchowych. Nie ma więc ucieczki od wyścigu. Nasi bohaterowie zostali niewolnikami wyścigu. Śmierć albo bieg do przodu.

W kolejnych 12. odcinkach poznajemy postacie i świat coraz lepiej. I choć nasi protagoniści wyglądają na sztampowych, to w miarę upływu czasu dostrzegamy w nich pewną głębię. Podobnie jest z otaczającym, pełnym szaleństwa światem. Nic nie jest tu czarno-białe. Prawdę mówiąc, nie ma tu nawet odcieni szarości. Jest krwista czerwień, narkomańska zieleń i fiolet neonów. Gdzieś tam, głęboko przykryta tą chorą paletą barw, tli się jeszcze błękitna nadzieja na przebłysk normalności. Wraz z rozwojem historii, wrogowie stają się przyjaciółmi, tylko po to, byśmy znów mogli darzyć ich nienawiścią. Przyjaciele pokazują prawdę o sobie, a w postaciach do szpiku złych, odnajdujemy dobro, proporcjonalnie do pierwiastka zła w tych dobrych. Zdecydowanie to właśnie historia i bohaterowie są siłą tej produkcji. Choć nie zawsze łatwi do polubienia, to na pewno, kiedy to już się stanie, będziemy śledzić ich losy z całkowicie wpatrzonymi w ekran oczami.

Ogromnym walorem tej produkcji jest jednak coś zupełnie innego - niewymuszony moralny przekaz. Trafne opisy naszej rzeczywistości, ukryte pod hektolitrami krwi i martwymi ciałami, dają do myślenia. Od pozycji korporacji w obecnym świecie, przez miłość, tę romantyczną i rodzinną, po klonowanie ludzi, postępującą demoralizację i żądzę krwi, zwłaszcza u najmłodszych członków społeczeństwa, których rodzice mają, łagodnie mówiąc, głęboko gdzieś. Idealnie przedstawia zniewolone społeczeństwo. Zniewolone nie przez tyranię, a używki, kontrolowaną kulturę i materializm.

Produkcja niczego się nie boi. Serial wprost atakuje studia telewizyjne i wydawców. Krytykuje konsumpcjonizm i całe dzisiejsze społeczeństwo. Pod krwawą otoczką opowiada o rzeczach naprawdę ważnych. A my chcemy słuchać i słuchamy. Właśnie dlatego, że twórcy nie próbują bawić się w moralizatorów, nie wciskają nam swoich poglądów i cierpienia ze sztucznymi łzami w oczach, te wszystkie sprawy trafiają prosto do serca. Paradoksalnie więc, serial o silnikach na ludzką krew, przepełniony brutalnością i szaleństwem, uczy, pomaga i robi dużo więcej dobrego, niż przerysowane, melodramatyczne i czarno białe opowieści.

Dzięki temu, dzięki historii i moralności, jaką niesie ta opowieść, wszystkie jej wady kłują w oczy o wiele mniej. Choć przecież trochę ich jest. Niepotrzebne komputerowe efekty specjalne, rozczarowujący finał całej serii, czy częsty brak spójności historii i nadmiar wątków. To wszystko dzięki wyżej wymienionym dwóm fundamentom tej produkcji schodzi na dalszy plan. Bo pomimo, iż nie każdy będzie miał cierpliwość na dotarcie do głębi historii, nie każdemu spodoba się krwawa stylistyka retro, to produkcja ma swoją wartość. Dla mnie wartość ta jest wielka, warta przebrnięcia przez bolączki produkcji. Zwłaszcza że jest to dzieło kompletne. Długi film, który nie doczeka się kontynuacji. Studio SyFy skasowało serię. Na szczęście twórcy zdążyli zamknąć historię w jednym sezonie.

Jeśli więc jesteś spragniony dobrej historii, szukasz powodów do myślenia i nie lubisz wymuszonych łez, a ryk silnika, dobra bitka i lata 80 to twoje senne marzenie, to „Serdecznie Zapraszam na Coroczny Wyścig Krwi". Porąbany degeneracie.

Kacper *„Rodrrik"* Kandora

CI ŻLI FANOWIE GWIEZDNYCH WOJEN

Recenzja

„The Last Jedi" mi się podobał. Podobała mi się fabuła, podobał mi się niespodziewany kierunek, jaki obrała narracja i styl, w jakim film został zrealizowany. Jasne - chciałbym zobaczyć swoje „wymarzone" Gwiezdne Wojny, jednak to co było na ekranie kina w zupełności mnie usatysfakcjonowało. Nie oznacza to też, że każdą negatywną opinię na temat filmu odbieram jako „hejt" - co więcej, te opinie też są cenne bo Disney i Lucasfilm potrzebują zimnego prysznica i solidnego ciosu w policzek. Zwłaszcza w świetle tego, co można zobaczyć ze strony kreatorów „nowych" Star Wars - tak Kathleen Kennedy, jak i J.J. Abramsa.

A co mogliśmy zobaczyć niedawno? Akcję Kathleen „The Force is Female" popartą słowami że „nie zamierzam przymilać się męskim fanom", czy Jar Jar Abramsa traktującego niezadowolonych fanów jak bigotów, co to czują się zagrożeni przez kobiety. Trudno nie poczuć ogromnego niesmaku i potężnej irytacji z więcej niż jednego powodu. Pierwszym co się nasuwa na myśl - bardzo zabawnym jest, że „nowe" Gwiezdne Wojny starają się zrobić wszystko żeby wyalienować tych starych - to jest męską widownię. Część z Was może nie pamiętać, ale kiedyś Gwiezdne Wojny dzieliły tę samą przestrzeń co komiksy - ekstremalny „obciach, brachu", lubiany tylko przez społecznych odludków w większości posiadających penisa między nogami. Z jednej strony dobrze pochwalić czasy w których Star Wars „wyszły do ludzi" i nie trzeba już się chować z tą miłością po piwnicach. Z drugiej jednak, dość ironicznym jest że Kathleen Kennedy „nie będzie przymilać się" bazie fanów, która zbudowała i utrzymała przy życiu „Gwiezdne Wojny". Zamiast tego decyduje się skupić na...

Właśnie, na kim? Na tworzeniu pokolenia silnych, niezależnych fanek „Star Wars"? A może na tworzeniu jakiegoś sztucznego podziału, gdzie zdecydowana większość członków Najwyższego Porządku jest biała, a „dzielny" Ruch Oporu składa się z całej tęczy kolorów i odmienności?" Mógłbym wymienić wiele powodów, dlaczego to nie wypali ale podsumuję to tak - to jest jak ze sroką, której oferujesz kawałek folii aluminiowej. Pięknie, świetnie - jednak prędzej czy później sroka Cię oleje, bo znajdzie sobie coś bardziej błyszczącego i fajniejszego. Zwłaszcza w sytuacji gdzie i komiksy, i filmy stają na głowie żeby uniknąć oskarżeń o seksizm czy rasizm przez towarzystwo najbardziej żałosnych osobników rasy ludzkiej, jacy zamieszkują obecnie ziemię. Takich fanów nikt nie zadowoli - nigdy, bo oni nie chcą być zadowoleni. Dostaną „Black Panther" - będą jojczeć, ze Okoye nie jest lesbijką. Dostaną komiks Marvela o żeńskiej wersji Wolverine'a - będą płakać, że X-23 nie jest transdżęder. Dostaną „Star Wars" - będą marudzić że jest „nie dość" tego, co oni tam chcą i tego, co w ostateczności wyżera siły życiowe „Star Wars" jak pijawka.

Powiedzmy sobie szczerze, bo od „The Last Jedi" minął kawałek czasu - cały wątek generał Holdo był po prostu do dupy. I nie chodzi tu tylko o fakt że „kobieta generał" - tylko o fakt, że film w żałosny i nieudolny sposób próbował przyznać jej rację w tym jak działała, mimo że nie miała nawet cienia racji. Okłamywanie załogi, ukrywanie swojego właściwego planu - kto by pomyślał, że jedyny rozsądny człowiek w załodze straci cierpliwość wobec Admirał LGBT.

Co kieruje Nas w stronę drugiego gościa wieczoru, samego Jar Jar Abramsa - człowieka do którego miałem wielki szacunek za pierwsze sezony „Lost", i za uczynienie „Star Trek" czymś strawnym dla mojego smaku. Mogę spokojnie stwierdzić, że naprawdę niewielu mężczyzn „boi się" silnych kobiet, ba - większość mężczyzn chciałaby kobiety, która mogłaby stanowić dla niego wsparcie, równą istotę, niebędącą tylko kulą u nogi, którą trzeba głaskać i nosić leki na migrenę. Może Ci „mężczyźni" po prostu czują się zniesmaczeni kierunkiem, jaki „Star Wars" obiera? Fioletowe włosy, gruba Azjatka głupia jak gwóźdź w trumnie, i obdarzanie męskich bohaterów samymi negatywnymi cechami. Mimo że kocham wątek Skywalkera w „The Last Jedi", to mogę zrozumieć pogląd że z najważniejszej postaci „Star Wars" zrobili chodzącą porażkę. Podobnie z Kylo Renem, który waha się między dobrem a złem bo żaden scenarzysta nie ma dość jaj(ników?) w spodniach żeby jednoznacznie rzucić go na którąś stronę barykady. Czy też z Poe Dameronem, który miał rację, ale film konsekwentnie postanowił udawać, że Poe się myli na rzecz Generał Dżęder.

Na całe szczęście, niezadowolenie fanów odbija się na wynikach sprzedaży - „The Last Jedi" w drugim tygodniu po premierze zarobił dużo mniej niż przewidywany wynik, i obecnie stanowi, paradoksalnie - kasową porażkę ze strony Disneya. Nasuwa się więc pytanie, czyja to wina - tych złych, seksistowskich fanów którzy chcą swoich bohaterów - wyłącznie białych mężczyzn? Czy też jest to wina dwóch reżyserów i ich szefowej, która w kwestii wciskania polityki do filmu ugryzła dużo więcej, niż da radę przełknąć, czy raczej - przepchnąć przez gardło widowni?

Ocenę zostawiam Wam. Ja bardzo chętnie dodam „Ostatniego Jedi" do swojej kolekcji obok „Przebudzenia Mocy" czy „Rogue One". Nie zmienia to jednak faktu, że wszystko co dzieje się wokół filmów sugeruje, że „Star Wars" miały się stać stacją BBC wśród filmów Hollywoodu - to jest stekiem bredni przymilającym się do dziwaków i kretynów. Fani się na to nie zgodzili, więc zarządzający projektem „ubogacania" Star Wars się wkurzyli. Jaka szkoda.

„Veskern"

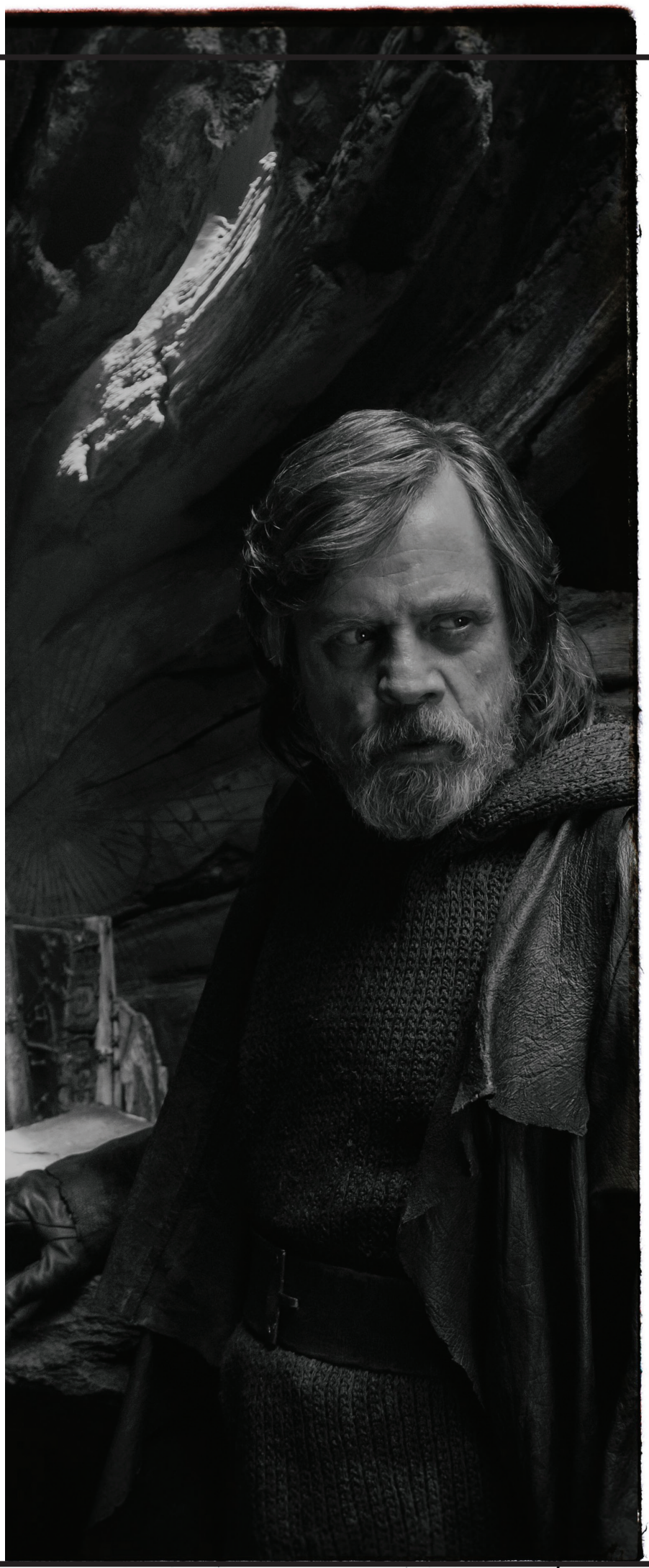

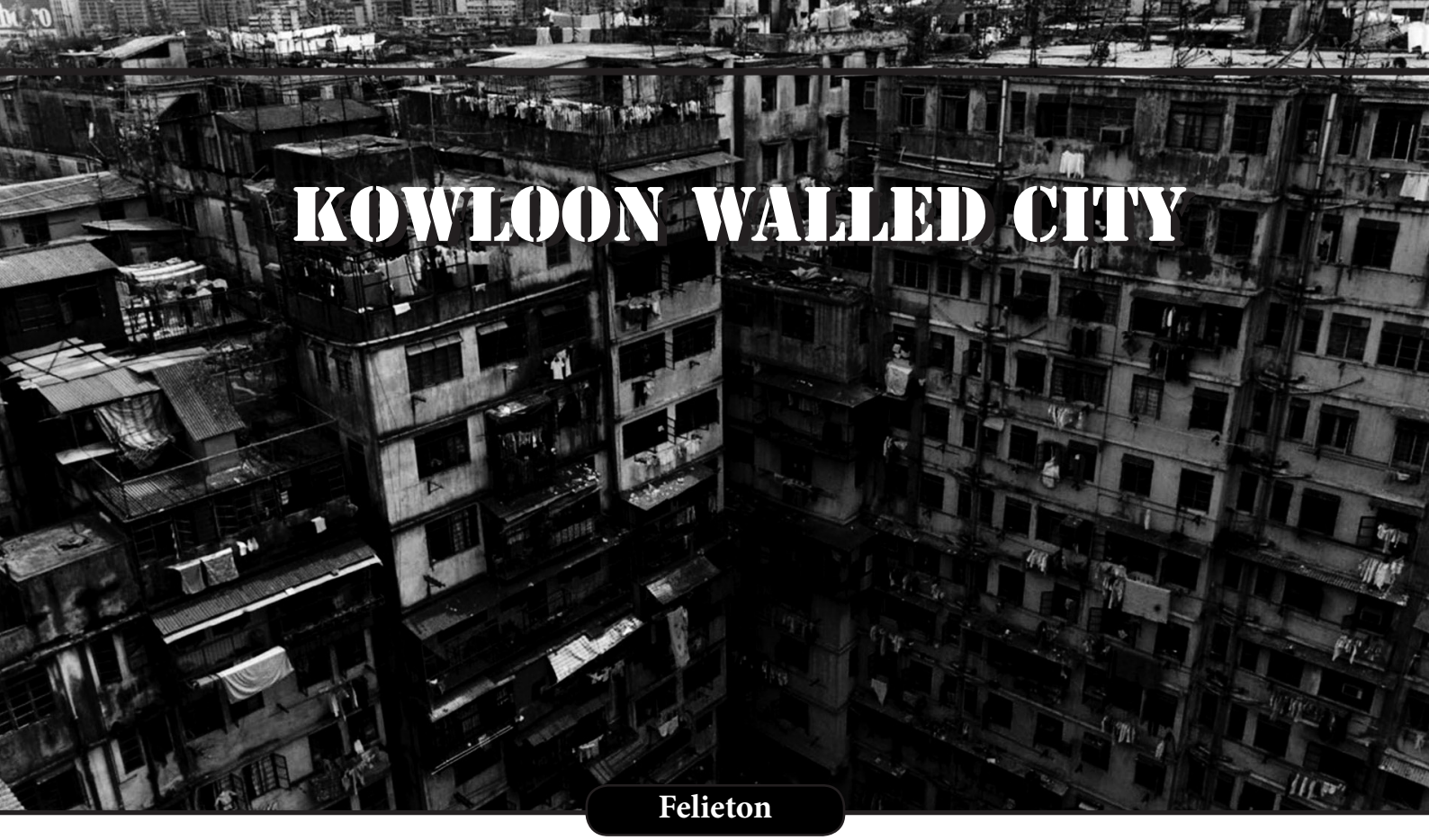

KOWLOON WALLED CITY

Felieton

Ponad ćwierć wieku temu zniknął dom 50 tysięcy ludzi. Powierzchnia wielkości średniego centrum handlowego ugięła się pod naporem buldożerów i łopat. Dziś tam, gdzie kiedyś przez dziesiątki były tysiące łóżek, rozciąga się nowoczesny park. Czy dla brytyjskich władz Hongkongu ważniejszy był powrót do natury niż dom dla obywateli? Nie, dla władz najważniejsza była kontrola.

Historia miasta za murami, bo tak wielu ludzi zaczęło je nazywać, nie ma podłoża ideologicznego, powstało ono wskutek zwykłej ludzkiej potrzeby posiadania dachu nad głową. Przed XVIII wiekiem istniała tam mała osada, przekształcona później przez Chiny w mały fort. Podczas wydzierżawiania Hongkongu Brytyjczykom na początku XX wieku Chińczycy postanowili umieścić tam część swoich wojsk, które miały przypominać, o tym do kogo należy ta ziemia i pilnować dotrzymania warunków dzierżawy. Brytyjczycy w myśl imperialistycznych zasad nie pozwolili sobie na takie traktowanie i po przejęciu Hongkongu ruszyli z zapałem w sercu na fort. Walki jednak nie było, bo chińska armia wycofywała się z tego miejsca, nie narażając się na rzeź ze strony Wielkiej Brytanii. Brytyjczycy nieprzygotowani i zawiedzeni takim obrotem spraw, opuścili fort.

„Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta". Dobrze urządzone i zaopatrzone w prowiant miejsce szybko zostało schronieniem dla napływających imigrantów i biedoty. Po czasie Brytyjczycy zauważyli potencjał tego obszaru warownego i próbowali go odzyskać, jednak nie przyszło im z łatwością, bo ludzie, którzy nie mieli gdzie się podziać, a od dachu nad głową zależało ich życie, potrafili walczyć naprawdę zaciekle. Wielka Brytania odpuściła w końcu próby przejęcia, machnęła ręką na mały punkt wyjęty spod ich panowania i zajęła się innymi problemami, których miało tylko przybywać. Zbliżała się kolejna wojna światowa.

Po wybuchu drugiej wojny światowej i zajęciu Hongkongu przez Japonię fort został zrównany z ziemią a większość uchodźców wybita. Kamienie z jego murów zostały użyte przy umocnieniach i budowie nowych obiektów wojskowych na tym terenie. Choć miejsce zostało zniszczone, jego duch przetrwał. Po kapitulacji Japonii, Chiny mające swój interes w eksterytorialnym miejscu we wciąż brytyjskim Hongkongu oficjalnie zwróciły prawa Walled City ich mieszkańcom. Powstał wtedy ciekawy paradoks. Miasto za murami było formalnie chińskim terytorium, ale otoczonym przez terytorium brytyjskie i znów tylko formalnie będąc pod jego rządami. Tylko formalnie, bo praktycznie miasto nie podlegało żadnemu państwu ani jego prawom, rządzili nim mieszkańcy. Miasteczko, początkowo postapokaliptyczne pole namiotowe pośród gruzów dawnego fortu, zaczęło nabierać kształtów.

Coraz większa ilość uchodźców z Chin szukała właśnie w tym miejscu schronienia. Władze brytyjskie próbowały przejąć miasteczko jeszcze w 1947 roku, jednak około dwóch tysięcy mieszkańców stawiło czynny opór, a władze chińskie potraktowały to jako próbę najechania na jego terytorium. Brytyjczycy po tym incydencie podjęli politykę „hands-off", a swojej policji wydali rozkaz nieprzekraczania granic Kowloon. Wtedy też rozpoczął się prawdziwy rozwój tego miasteczka o powierzchni 4 boisk do piłki nożnej.

W roku 1950, trzy lata po ostatniej próbie zawładnięcia

tym obszarem, miasto zamieszkiwało już minimum 30 tysięcy osób, w tym samym roku strawił je też pożar, niszcząc domy 17 tysięcy z nich. Głównym powodem tego tragicznego zdarzenia była prymitywna, wręcz surwiwalowa metoda budownicza opierająca się na nieprzetworzonym drewnie i prostych ziemiankach czy materiałowych namiotach. Po pożarze podjęto decyzję o nowej polityce budowlanej, zapewniającej w teorii ochronę przeciwpożarową.

W mieście nie było formalnych władz, mieszkańcy danego budynku czy pracownicy danego miejsca potrafili jednoczyć się w wielu decyzjach i wspólnie decydować o kształcie swego losu, jednak największą siłę przedstawiały szybko powstałe gangi. Choć niektóre z nich w pełni zasługują na to słowo, bo ich głównym zadaniem było wymuszanie haraczy czy przemyt narkotyków, to wiele było po prostu zgrupowaniami ludzi o różnych poglądach i zadaniach, niektóre były patrolami sąsiedzkimi mającymi dbać o bezpieczeństwo w ich dzielnicach. Dużo bardziej niż gangi, pasowałoby więc tu słowo grupy, lub frakcje. Z racji braku jednej, która miałaby na tyle dużą siłę, by narzucić ją wszystkim, wszystkie frakcje i zwykli mieszkańcy musieli dochodzić między sobą do porozumień i wspólnie zarządzać terenem Walled City.

Miasto rozrastało się w zastraszającym tempie, już nie tylko przez napływ imigrantów, ale także ucieczki przestępców z reszty kraju, czy osób z całego świata szukających miejsc wyjętych spod prawa, w których mogliby być wolni. Z powodu braku regulacji można było kupić tam wszystko, a ogromny obrót pieniędzy coraz pozytywniej odbijał się na mieście, które z osiedla uchodźców przekształciło się w podzielone na klasy przypominające cyberpunkowe miasto, do którego nie docierało światło dnia. Na dole mieszkali najbiedniejsi i nowi mieszkańcy miasta, którzy wraz ze wzrostem majątku pieli się ku górze wysokich bloków. Bloki te szybko stały się przedmiotem sporów, ponieważ zbyt wysokie uniemożliwiłyby lądowanie samolotów na pobliskim lotnisku. Miasto wystraszone perspektywą wojny z otaczającym je Hongkongiem podjęło więc decyzję, zatwierdziło jedyną regulację, na mocy której uniemożliwiono budowę budynków powyżej 14 piętra, przez co szybko zamieniło się w równo porośniętą budynkami prostokątną bryłę. Rozrost trwał więc nieprzerwanie do lat 70. Kiedy to brytyjskie władze, zdecydowały się na naloty na miasto.

Do tego czasu teren ten zamieszkiwało około 50 tysięcy wyjętych spod prawa ludzi, pracujących tam, uczących się i spędzających wolny czas. To, co opisywane przez zewnętrzną propagandę, wydawało się zbieraniną podludzi najgorszego sortu, wewnątrz było, może nie zawsze ciepłym, ale domem dla wielu rodzin, dzieci i starców.

Miasto bez żadnych regulacji było praktycznie samowystarczalnym miejscem do życia. Na obszarze o wymiarach 200 na 100 metrów będącym najbardziej zaludnionym miejscem na ziemi, dało dom zwykłym prostym uciekinierom przed wojną, i urodzonym już tam dzieciom nigdy nieuczęszczającym do tego, co my znamy pod pojęciem szkoły. A im udało się zbudować prawdziwą metropolię. Mieszkańcom nie tylko udało się zbudować masę wysokich budynków z dostępem do elektryczności i wody, które łączyły się oznaczonymi tunelami i ścieżkami, do których nigdy nie trafiało światło, przez co szybko miasto zyskało też przydomek miasta ciemności, ci prości ludzie zbudowali szkoły, rozwiniętą służbę zdrowia, odpowiedniki instytucji publicznych, tysiące firm i zakładów usługowych. Bez żadnego nadzoru zbudowano tam około 300 budynków, prawie wszystkie sięgały 14 piętra. Powstała nawet elektrownia i wiercone wewnątrz budynków, sięgające 90 metrów w głąb ziemi ujęcia wody. Wszystko to przez lata funkcjonowało, do czasu początku końca trwającego w latach 1973-74, kiedy to w ponad trzy i pół tysiącu rajdów policja aresztowała lub zabiła 2800 mieszkańców i rekwirowała narkotyki czy nielegalne przedmioty jak broń będące często źródłem utrzymania dla wielu zwykłych obywateli. Wtedy też wiele rodzin musiało uciekać z miasta, a nowi mieszkańcy nie napływali już tak chętnie, bojąc się, jak to często w historii bywało, policyjnego buta. Dostęp do miasta z zewnątrz został utrudniony, a mieszkańcy przez brak klientów i zubożenie społeczeństwa coraz częściej musieli porzucać swój dom.

Brytyjskie władze ostatecznie w 1984 podjęły decyzję o likwidacji tego wolnego miasta. Walcząc o każdy jego metr i budynek burzyły je kroczek po kroczku, by w końcu w 1993 roku przejąć je całkowicie. Krótko potem zbudowano tam miejski park. Zapytacie o los mieszkańców? Wielu aresztowano, część przeprowadziła się w inne miejsca świata, czy do samego Hongkongu. Część zabito przy rajdach lub burzeniu. Niektórzy zdruzgotani niszczeniem ich świata popełnili samobójstwo. Gdy dziś zapytasz o Kowloon jej byłych mieszkańców, wielu ze łzami w oczach powie jedno słowo „tęsknię".

Kacper *„Rodrrik"* Kandora

PROSIMY SIĘ COFNĄĆ DO PRZODU

Felieton

Pośród wszystkich równoległych światów istnieje taki, w którym dochodzi do następującego zdarzenia: w nieokreślonym czasie (nikt nie liczy lat) do Ziemi zbliża się sonda von Neumanna. Przeprowadza pomiar aktywności radiowej, który nie daje żadnego odczytu. Na zaciemnionej półkuli szuka śladów zanieczyszczenia świetlnego. W kilku punktach mierzy temperaturę powierzchni, przeprowadza jeszcze serię pomiarów, których rezultaty są jednoznaczne. Sonda odkrywa ślady życia, ale nie widzi prawie żadnych oznak cywilizacji. Sonda nie wraca na ziemię po wielkiej wojnie atomowej. To nie jest sonda pochodzenia ziemskiego. Jej typ opisujemy tylko umownie nazwiskiem węgierskiego matematyka. W języku swoich twórców ma pewnie własnego ojca-pomysłodawcę.

Tak właśnie mogłaby wyglądać Ziemia w alternatywnej rzeczywistości, w której nie doszło do rewolucji (ewolucji) neolitycznej. Zanim jednak się jej przyjrzymy w stanie takim, jakim ją Bóg stworzył, wybierzmy się do sedna tej opowieści drogą na około.

Chwytając za rogi korporacyjne możliwości, pluton menedżerów bitewnych średniego szczebla zapuszcza się wprost w huraganowy wiatr, na katamaranie z setkami kabestanów, wielkim żaglem i kadłubem z włókna węglowego. Ich historia zaczęła się w latach 40, 50, albo 60-tych od tego, że nikt jej nie spisywał, bo nikt nie zauważył w porę jakiego znaczenia nabiorą korporacje i zatrudnieni przez nie ludzie. Jak echo wybija się na pierwszy plan świadomości to samo soczyste ugryzienie Hegla, które po raz pierwszy postulowało że historia to w istocie jedno wielkie nieskończone i nieuniknione kontinuum. To samo ugryzienie, które skłoniło innych filozofów do opracowania postulatu o falsyfikowalności, będącego – oprócz swojego głównego celu - kolejną cegiełką w aparacie pojęciowym bitewnych menedżerów. Umieścili go na półce gdzieś obok Brzytwy Ockhama, Krowy Kandinskiego i Kwartetu Smyczkowego Lutosławskiego. W podręcznym miejscu, do którego łatwo sięgnąć, by udowodnić swoją erudycję.

Wyobraźcie sobie taką grupę, która czuje, że świat należy do nich. I rzeczywiście należy. Jeden sprzeda drugiemu to, co kupi od pierwszego, a skutki odczują nie tylko pracownicy ich kilkusettysięcznych armii, ale i wiele milionów ludzi. Wszystko jest możliwe w świecie monopoli i globalizacji.

Tymczasem postulat o falsyfikowalności miał zupełnie inne zadanie. Miał dopełnić tego, co zaczął Kant. Miał odciąć raz na zawsze to co naukowe od tego, co nienaukowe. Miał żądać dowodu. Nauka ogranicza się do tego, co można eksperymentalnie obalić - nawet hipotetycznym, myślowym eksperymentem. Samej teorii falsyfikowalności jednak nie da się poddać jej własnej brzytwie. Po prostu nie jest falsyfikowalna. Może to i słuszne, że stoi tylko na półce.

W każdym donośnym punkcie historii znajdzie się grupa bitewnych menedżerów. Jeżdżą na białych koniach u boku Napoleona, walą do drzwi Jerozolimy, na łodziach z głowami smoków odkrywają świat za wielką wodą albo wyskakują z wielkiego drewnianego konia, plądrują starożytne miasto, by potem tułać się po świecie, po drodze wchodząc w kontakt z niejednym bogiem, a na końcu przeszywając jedną strzałą ponad stu ludzi (bo czemu nie!). Jakkolwiek nie nazywała ich historia: czy był to Gilgamesz, czy dziesięć tysięcy Greków wracających z Persji po nieudanej wojnie, Argonauci, Lisowczycy czy Biali Hunowie, historia w każdym swoim punkcie miała takich bitewnych menedżerów, którzy kreowali świat. Ludzie, którzy byli kompletnie wolni. Ludzie, których słowo powodowało czyn, a czyn zmieniał Ziemię i czynił ją sobie poddaną. Co kilkaset lat, w tym samym cyklu, budowali, zdobywali i rujnowali świat. A Hegel zacierał ręce i klepał się w udo.

Przykry fakt jest taki, że większość z nas nie jest jednymi z nich.

Gdy sarna chce przejść przez granicę, to przechodzi. Gdy orzeł chce przelecieć nad granicą, to przelatuje. Gdy to samo chce zrobić żubr, to zastrzelą go w Niemczech. A gdy zabiera się do tego człowiek, to w niektórych rejonach świata uda mu się bezproblemowo. Ba, przejedzie nawet autostradą. Byleby za długo tam nie siedział, za tą granicą. Niech już szybko wraca płacić podatki. No bo rezydentem którego państwa on jest? A czy czasem nie chce oszukać urzędu skarbowego? A może jakiś inny paragraf się na niego znajdzie? Są jednak i takie miejsca, w których żeby przekroczyć granicę, trzeba się do tego mocno przygotować. Są też granice – zupełnie umowne, narysowane na mapie – których przekraczać nie można.

Trzeba pracować, to pewne. Praca jest treścią życia. Bez pracy nie ma kołaczy. Chyba że pracują inni, a człowiek pobiera socjal. Ale wtedy niech chociaż czymś innym się wykaże. Immunitetem, piątką dzieci, wujkiem – prezesem, odcieniem skóry, brunatną koszulą, kulturowym ubogacaniem albo jakąś inną przepustką, która pozwoli mu nie pracować.

Tak działają systemy, które będą go śledzić i monitorować. Mają ogólne zasady (każdy musi pracować i wszyscy są równi) i odstępstwa od nich (ale w sumie ten lub tamten nie muszą, a niektórzy są równiejsi). Tak zawsze to było. Bitewni menedżerowie też byli równiejsi. A system-państwo-ojczyzna musi działać. Pozwala to zapewnić społeczny porządek. Są pieniądze na policję, żeby łapała przestępców, straż pożarną, służbę zdrowia, szkolnictwo. Cywilizacja rośnie. Cywilizacja trwa.

Ale skąd się tak właściwie to wszystko wzięło? Ten system, to państwo, ta cywilizacja i w końcu ta ojczyzna?

Starzec Adapa może to pamięta z ustnych przekazów, my niestety tylko z tego, co zapisane. Kiedy Bóg stworzył Ziemię i zwierzęta, a na końcu człowieka, powiedział mu: „Czyń sobie ziemię poddaną." Później powiedział sam do siebie „Oto człowiek stał się taki jak my", a że było to zbyt szybką i niepożądaną progresją, wyrzucił go z raju, na łono właśnie tej Ziemi. Nie była już tak gościnna i zachęcająca, a dodatkowo od czasu do czasu umiała zafundować tu i ówdzie zlodowacenie, potop albo suszę.

Ludzie trwali w takim stanie, powoli ulepszając swoje narzędzia, którymi już za niedługo zdobędą tę Ziemię. Najpierw wytwarzali je z kości i drewna, potem z kamienia. Zanim nadeszła epoka metali, ludzie osiedli. Rozpoczęli uprawę zbóż. Założyli miasta. Bez tego era brązu nigdy by nie zaistniała. Kto by stworzył przenośny piec hutniczy? Albo zapamiętał na pokolenia jego położenie, nie mogąc go zapisać na prowizorycznej mapie? Potem wszystko potoczyło się tak jak już to pamiętamy. Rozwinęły się wszystkie instytucje, które zapewniają nam bezpieczeństwo i dobrobyt. Rozwinęła się cywilizacja.

Boże słowa poszły w zapomnienie. Zamiast czynić sobie ziemię poddaną, ludzie stali się poddanymi ziemi. Analogicznie do powiedzenia: im dłużej patrzysz w pustkę, tym bardziej pustka patrzy w Ciebie, zdobywali ziemię tak skutecznie, że to ona w końcu zdobyła ich. Ojciec i matka zamienili się w ojczyznę, za którą trzeba przelewać krew, bo kosztowała dużo potu i łez. Wolność zamieniła się w bezpieczeństwo, zioła w medycynę, opowieści w księgi, dowolność w cywilizację. Te zmiany nie nastąpiły z dnia na dzień. Trudno tak naprawdę mówić o rewolucji. Był to proces stopniowy, rozpoczęty prawdopodobnie przez plewienie chwastów rosnących wśród pożytecznych roślin. Dopiero później nastąpiły pierwsze próby celowego zasiewu. Możemy podejrzewać, że pierwsze rezultaty niekoniecznie były zadowalające.

Wszystko zaczęło się od żyznego półksiężyca, a skończyło jak na razie na niebieskim bananie. Nieuniknionność. Czas. Hegel. Możemy myśleć, że konflikt między bezpieczeństwem a wolnością musiał zostać rozwiązany właśnie na korzyść tego pierwszego. Że to jest cena, którą musimy zapłacić za możliwość osiągnięcia gwiazd. I pewnie tak właśnie jest. Wyobraźmy sobie jednak na chwilę, że jest inaczej.

Sonda von Neumanna ląduje wreszcie na jednym z trawiastych pagórków. Ten punkt wybrała nieprzypadkowo. Dzięki swojej zaawansowanej aparaturze, która nigdy nie powstanie na Ziemi, mogła dotrzeć do kolebki ludzkości. Do jednego z plemion, które od tysiącleci przenosi się z jednego pagórka na drugi, naśladując ruchy wielkiego stada jeleni, które z kolei prowadzone jest przez wiatr, deszcz, słońce i chmury.

Cztery czynniki – bez żadnego powiązania z czymkolwiek innym. Cztery – liczba bez żadnego symbolizmu. Czy ktoś pofatygował się, by tym czterem bogom nadać jakieś imiona? Czy to w ogóle są bogowie? A może nasi przodkowie bez pisma, stałych osad, bez wytwarzania metalowych narzędzi i bez wielkich bibliotek wcale nie myślą, że oto widzą czterech bogów? Może doskonale rozumieją wiatr i słońce, deszcz i chmury? Może ich zew łowiectwa i zbieractwa skłonił ich pewnego dnia do porzucenia obietnic stojących za możliwością wybrania sobie na Ziemi jednego miejsca, w którym osiądą. Może był to świadomy wybór.

Może my nigdy nie będziemy bardziej świadomi tej niewoli, którą nakłada na nas nieuniknionność i czas.

Ale przecież wystarczy, że tylko kilka innych osób zdecydowałoby się osiąść w miejscu i zacząć udomawiać zboża. Po pewnym czasie zyskaliby taką przewagę nad koczownikami, że całkowicie by ich wyparli.

Czy to w ogóle jest możliwe, by w pewnym równoległym świecie sonda von Neumanna odkryła Ziemię zamieszkaną przez ledwie kilka milionów ludzi?

Janusz *„nie wiem"* Zieliński

WIĘKSZY ZJADA MNIEJSZEGO

Recenzja

Sprzedać truciznę jako rozrywkę
Pozbawić celu i wyobraźni
Pobrać stosowny abonament
Marzenie państw i korporacji

Czy w umyśle statystycznego odbiorcy w Polsce znajduje się bardziej rozpoznawalny zespół punkowy niż Dezerter? Ten zdecydowanie najpopularniejszy punkowy geniusz nie zdobył swojej rozpoznawalności przypadkiem. To nie grupa jednego utworu, choć po prawdzie, kto z nas w życiu nie usłyszał frazy „Spytaj Milicjanta, on ci prawdę powie" To nie promowana przez radio i telewizję papka medialna. Dezerter to jedyny w Polsce zespół stworzony w podziemiu i powstający w podziemiu, który dostał się do głównego ścieku (no, powiedzmy - nurtu) mediów. Kontrkulturowa popkultura. Tym, chcąc czy nie chcąc, stał się Dezerter. Skoro więc Dezerter został wywołany do tablicy jako reprezentant i przedstawiciel kontrkultury myślowej i punkowej „zadymy", to warto wiedzieć co przy niej mówi. A mówi dużo.

Od wydania albumu „Większy zjada mniejszego" minęło już 5 lat. O nowych utworach legendarnego trio niestety nie słychać nic. Czy album więc przepadł z czasem? Skądże, tak jak każda poprzednia płyta na czele z Kolaboracją nie zestarzał się ni krzty. Ba, uderza jeszcze bardziej niż te kilka lat temu. Grabowskiemu z przyjaciółmi udało się ustawić album w złotym środku pomiędzy przeszłością a przyszłością. Przy pierwszym odsłuchu szybko dostrzeżemy, że utwory nie powstały w myśl dzisiejszych zasad. By pokazać zainteresowanym gapiom, na czym polega przeciwstawianie się systemowi, Dezerter, stojąc dumnie przy tablicy, odpiął wtyczkę z komputera i wyciągnął zza pleców analogową taśmę.

Album brzmi tak jak powinien, fizycznie, nie zero-jedynkowo. Krążek został nagrany nie tylko analogową techniką, ale także analogową formą. Muzycy zebrali się, by nagrać utwory na setkę. Razem i wspólną energią. Pokazali zebranemu tłumowi, co było dobre w przeszłości. Niestety wystawiając się tym samym na jak zawsze solidny argument przeciwników, nazywających dorobek tria „zrzędzeniem starych pierników". Co z tym oskarżeniem zrobił stojący już przy tablicy zespół? To, co w zwyczaju uczeń ma robić przy tablicy. Pisze.

Tutaj grupa Krzysztofa Grabowskiego i Roberta Matery robi rzecz zadziwiającą. Piszą o teraźniejszości, w przeszłym, zamierzchłym stylu. Co to za styl? Wymierający niestety, zowie się „szczerą prawdą". Od 1981 roku SS-20 Dezerter jest wkurzony. Tyle że z młodzieńczy, przepełniony agresją bunt, wkurzenie na świat, zmienił się w „poczucie bezsilnej złości". Dezerter nie nawołuje do buntu, nie wzywa do powstań przeciwko światu. On go tylko opisuje. Ten opis zaciska pięści. Bo i czego w tym opisie nie ma. Dezerter piszę o: wyzysku osób nieprzystosowanych do życia w społeczeństwie [Na bruk], wszechobecnej inwigilacji i trosce rządów o nasze bezpieczeństwo, o którym więcej pisze Jerzy w „Tyranii Bezpieczeństwa" [Paradoks], polityce bez polityki [Koalicja], problemach ignorowanego świata [Dzieci gorszego boga], tresurze ludzi jak zwierząt [Hodowla głupków]. Nie wymieniając dalej, Dezerter piszę o wszystkich najważniejszych bolączkach dzisiejszego świata. I jednej najważniejszej, o tym, że nikt tak naprawdę nie próbuje tego zmienić. Bo w końcu

Większość krzyczy: „To nic złego! Większy musi zjeść mniejszego!”

Dezerter wypisał więc bluźnierstwa na tablicy, nim skończył zapisywać nimi zieloną przestrzeń, nauczyciel zdążył już wyjść z klasy, udając się po Dyrektora. Co bardziej przeczuleni gapie zaczęli rzucać obelgami i brać wzór z opuszczającego salę nauczyciela. Jednak gdy grupą po zakończeniu pisania odwróciła się do zebranych, zobaczyła nieliczną, acz aktywną i szczęśliwą grupę wpatrzonych w tablicę ludzi. Prawdziwych ludzi, nie drapieżników. Ta nieliczna grupa ludzi nie krzyczy „To nic złego”. Ta grupa krzyczy.

„Róbmy dalej swoje, póki jeszcze mamy siłę
Szukajmy, bo samo nic nie przyjdzie”

Taki też jest ostatni album Dezertera. Nie dla większości, „Bo racja zawsze jest po stronie większości”. To kolejny album Dezertera, w którym ten wywołany do tablicy robi to samo co od lat. Prowokuje, bulwersuje, ze stoickim spokojem słucha krytyki i widzi wychodzących z klasy ludzi. By po tym wszystkim zobaczyć podziękowanie w oczach mniejszości, poklepać się po plecach, wesprzeć mentalnie w codziennej walce o siebie z przytłaczającą rzeczywistością i w końcu zaśpiewać razem

„Prawda jest taka, że jest nie ważna
I tylko dla nas ma jeszcze znaczenie.”

A później zejść do podziemi, tam, gdzie jego i nasze miejsce. „Takie wybraliśmy sobie przeznaczenie”.

Cudowne przeznaczenie.

Kacper *„Rodrrik”* Kandora

RE KREATOR

Felieton

Kiedy byłem dzieckiem, moim marzeniem było zostać księdzem i leczyć oraz umacniać słabe, ludzkie dusze. W późniejszym okresie mojego życia, chciałem zostać lekarzem i leczyć ciało człowieka z chorób oraz ratować życie. Następnie chciałem być psychiatrą, zajmować się badaniem, zapobieganiem i leczeniem zaburzeń i chorób psychicznych. Dalsze poszukiwania tego, co chciałbym robić w życiu, doprowadziły mnie na psychologię by nieść pomoc osobom, które mówiąc najprościej - przeżywają różnego rodzaju kryzysy egzystencjalne.

Jako że nie umiałem się na nic zdecydować, postanowiłem te marzenia oraz plany zamknąć głęboko w myślach i zacząć robić coś zupełnie odmiennego, niż pomoc człowiekowi. Rozmyślałem nad zostaniem kucharzem albo gwiazdą rocka, ale ostatecznie zostałem technikiem telekomunikacji.

Jednak nigdy do końca nie zapomniałem o swoich pierwszych pragnieniach i po wielu wewnętrznych walkach, musiałem im ustąpić. Zostałem również pedagogiem, wychowawcą młodych ludzi, zajmującym się opieką, kształtowaniem właściwych postaw, pomocą w adaptacji do środowiska społecznego.

Ale dylematy związane z tym co chcę robić w swoim życiu, są codziennie poddawane próbom. Jedną z nich są reklamy telewizyjne, w których pokazywane są magiczne wręcz środki na poprawę naszego zdrowia oraz te, które cudownie nas uleczą. Środki przeciwgorączkowe, proszki, kremy. Specyfiki na dolegliwości intymne, spokój zdrowia psychicznego. Druga sprawa to programy telewizyjne, w których pokazywane są ludzkie problemy. Wszyscy wiemy, nie muszę silić się tutaj na szczegółowy i filozoficzny opis, że żyjemy w niespokojnych czasach, pełnych niepewności o nasz byt i zdrowie. Nasza egzystencja to pasmo dziwacznych sytuacji, w których nie zawsze postępujemy spokojnie i honorowo. Ból istnienia i wściekła rzeczywistość prowadzi ludzi do sięgania po używki, w celu poprawienia sobie nastroju lub zapomnieniu o przykrościach.

Długie dni spędzone na rozmyślaniach nad różnymi sprawami doprowadziły mnie do wniosku, że problemy ludzkie oraz środki, które mają im zaradzić, można ładnie połączyć. Motywem, który ostatecznie naprowadził mnie na ten pomysł było jedzenie, które dostajemy od rodziców wyjeżdżając do internatu szkolnego czy własnego domu - słoiki z bigosem, jajka, kiełbasa. Będąc człowiekiem pomysłowym, aktywnym oraz mogącym pochwalić się żoną i przyjaciółmi, mającymi podobne jak ja, cenne przymioty oraz duże wpływy, postanowiłem wspólnie z nimi otworzyć sklep medyczno - spożywczy. Oferuję w nim jedzenie połączone ze specyfikami medycznymi, które mają ułatwiać nasze codzienne życie.

Można u mnie kupić sztuczne mleko w proszku dla niemowlaków przed chrztem, dzięki któremu nie odczuwają one złego samopoczucia trwając (zakładam, że chwilowo) w grzechu pierworodnym. Dzięki specyfikowi maluszek nie przejmuje się zbytnio ceremonią chrztu, co przekłada się na sprawny przebieg uroczystości. W ofercie mamy różnego rodzaju pieczywa na bóle głowy, wyjścia do pracy, do kina, teatru, basen i inne.

Wszystko to można zobaczyć w naszej ulotce reklamowej i wiele, wiele więcej. Na przykład w naszym katalogu mamy również jedzenie specjalne, np. cukierki, dzięki którym astronom nie boi patrzeć się w gwiazdy czy lizaki zapewniające chirurgowi spokojną pracę... Nie zabrakło również mikstur, mających również wiele zastosowań. Muszę wspomnieć, że wszystkie produkty spożywcze wykonywała na początku tylko jedna

Sklep Spożywczo Medyczny "ReKreator"

Ilustracje

Ciemny chleb
Philadelphia Lippincott
Porter
Lemon, Mark, 1809-1870
Piwo Jasne
Nye, Bill, 1850-1896
Ser
Alice Worthington
Dziczyna
Clarke, W. J.

Przed użyciem zapoznaj się z treścią ulotki dołączonej do opakowania bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża Twojemu życiu lub zdrowiu

osoba, która z czasem wyszkoliła rzeszę pomocników specjalistów.

Bardzo szybko sklep stał się bardzo popularny. Ludzie zapobiegawczo kupowali nasze produkty. Nie chcieli się znaleźć w nowej, trudnej sytuacji, nie mając odpowiedniego panaceum, które pozwoliłoby ją znieść. Niech posłużę się banalnym przykładem. W pewnym momencie dzwoni nasz telefon komórkowy, nieznany numer. Pani oznajmia nam, że jest z gazowni i zalegamy z zapłatą rachunku. Trudno w tym momencie wyjść do sklepu i kupić odpowiedni produkt - w tym przypadku ziarnka słonecznika w panierce, żeby poradzić sobie na spokojnie z tą stresującą sytuacją. Łatwiej po te ziarnka sięgnąć mając je w domu, zjeść kilka i bez problemu rozwiązać zaistniały problem.

Zapraszam do przekroczenia progów naszego sklepu. Życzymy Wam smacznego oraz cieszenia się zdrowiem. Kupcie u nas Marzenia! Bądźcie Pełni Siły, Kreatywni, Wolni i Radośni!

Jak widzisz mój Przyjacielu, moje uzasadnienie na ten biznes jest dosyć pogodne. Ale kiedy zdałem sobie sprawę, że ludzkość jest najgorszą sprawą, która mogła mnie spotkać, musiałem jakoś temu zaradzić. Dawno temu przeczytałem ósmy numer Schronzinu Trzynastego Schronu. Było w nim o przyszłości. Zapragnąłem ją stworzyć dla siebie. A teraz… Jesteście nic nie znaczącymi Istotami. Wasze ciało codziennie musi przyjmować pokarm. Zaopatrujecie się u mnie w Marzenia. Jesteście na mnie skazani. Jestem Kreatorem waszego Samopoczucia. Zmanipulowałem wszystkich, a jednocześnie ślicznie się do każdego uśmiecham. Sprzedaję Ułudę. Prawdę zacierają pozory. Steruję wami. Od małego karmię was na niewolników!

Przyjacielu, przygotowałem dla Ciebie pyszną kolację. Skosztuj ją. Po niej zrobisz dla mnie wszystko!

Tomasz *„Stary Wujek”* Tytłak

Warzyw, przypraw mam do woli
pieprz – dopieprzy, sól – dosoli
por właściwą poda porę
ja za Ciebie przypierdolę
tylko wybierz cel działania
będziesz nie do powstrzymania
To świadomość konsumenta
każden jeden niech pamięta:
kminić – z kminem
winić – z winem
palić – z palem
walić – z walem
Każdy zakup w mym sklepiku
da korzyści Ci bez liku
Oferta ważna czasowo
czy chcesz zostać Casanovą?
Na korzenia mam korzenie
Lubczyk zmieni nastawienie
dzwonko suma, na sumienie
Kup marzenie w dobrej cenie

Jerzy *„Jerzy”* Kubok

W 2018 roku Polacy wydali 12 mld złotych na leki bez recepty i suplementy diety. Statystyczny obywatel przyjmuje rocznie 1000 dawek substancji „leczniczych”.

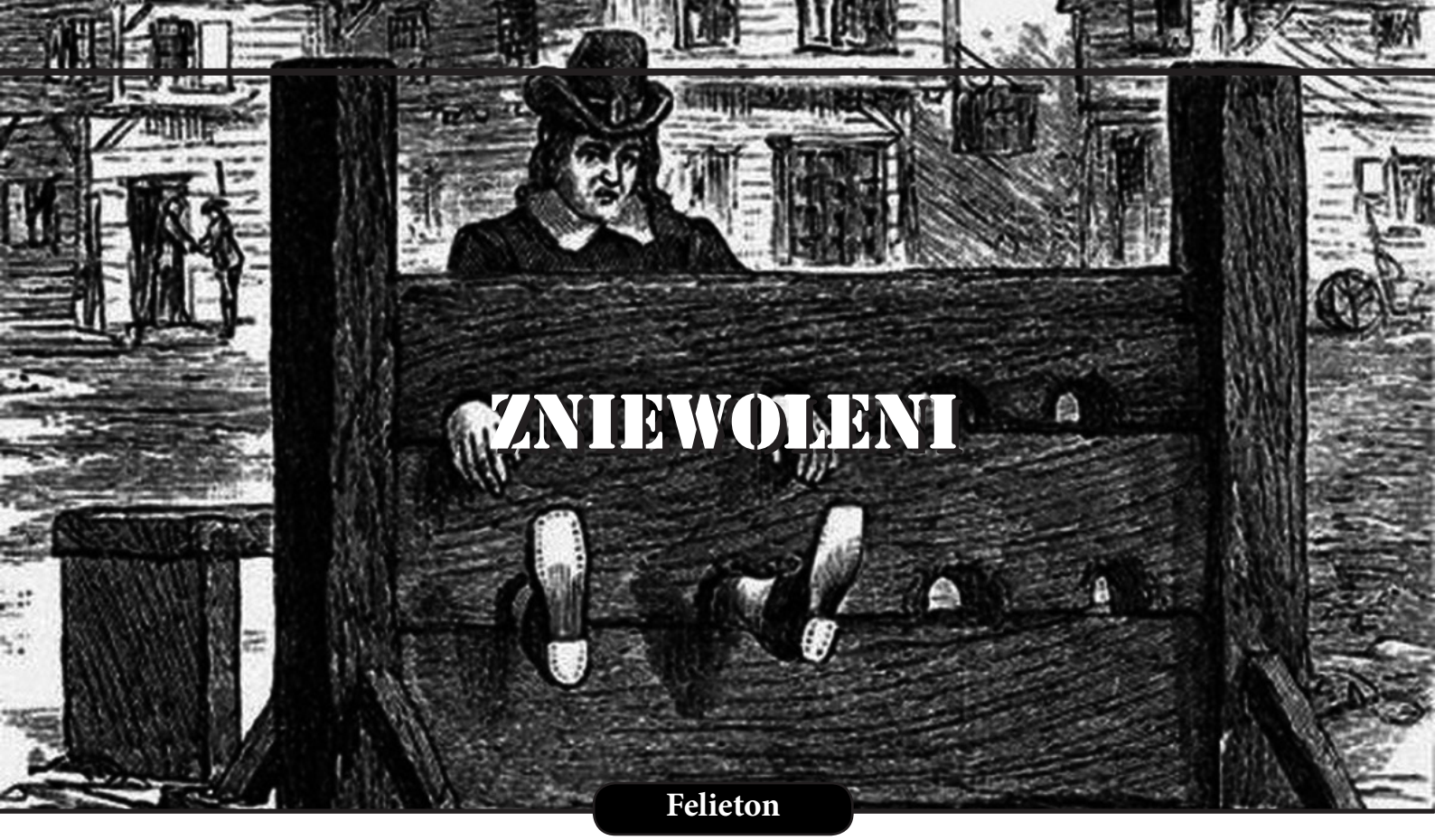

ZNIEWOLENI

Felieton

U nas nie ma problemu niewolnictwa? Ślepota zmieszana z pobożnymi życzeniami. Niewolnictwo jest i trudno je uznać za nieistotny margines. Według Walk Free Fundation w Polsce jest około 180 tysięcy niewolników, głównie z krajów dalekiej Azji. To najgorszy wynik w Europie, a 26 na świecie. Ile kasy wydajemy na zwalczanie niewolnictwa oraz informowanie o związanych z nim problemach? Zero.

Na początek liczby - 180 tysięcy w Polsce, 46 milionów na świecie (wzrost o prawie 10 milionów pomiędzy raportem z roku 2014 a 2016 Walk Free Fundation). Przerażające? Zapewne. Nie bez powodu cytat - słowa przypisywane Stalinowi, „Śmierć jednego człowieka to tragedia. Śmierć milionów ludzi to statystyka" - z „Czarnego Obelisku" Ericha Marii Remarque'a, oddziałuje na tak wielu z nas. Liczby nie przerażają, za dużo ich w naszym zdigitalizowanym społeczeństwie. Przerażają jednostki i twarze, ale tych wolimy nie słuchać. Na nie wolimy nie patrzeć. A jest czego słuchać, i jest na co patrzeć.

Często myślimy, że nas problem nie dotyczy, niecałe 18 milionów niewolników w Indiach to przecież jak osobna planeta, gdzie tam Indie? Dzięki globalizacji nie możesz już tylko machnąć ręką, mówiąc, że to dzieje się gdzieś za oceanem. Nawet tutaj w środku Europy możesz docenić pracę setek młodych mężczyzn, którzy zostali skuszeni możliwością opłacalnej pracy w bogatszych częściach swojego kraju, czy za granicą. Wywiezieni z uśmiechem wymalowanym na rozmarzonych twarzach, myślący o zakupie pierwszego samochodu, czy pomocy schorowanej rodzinie za zarobione pieniądze. Po dotarciu na miejsce i ujrzeniu wielkiej plantacji trzciny cukrowej z lufą przy skroni oddali wszystkie prywatne rzeczy i po otrzymaniu tępych maczet ruszyli do 16-godzinnego dnia pracy w pełnym słońcu. Nawet ja i ty czytelniku możemy docenić ich pracę, dodając zdrowego ciemnego cukru do popołudniowej herbaty

Może pomyślmy wspólnie o pięknych zakątkach ziemi i ich wielkich atrakcjach. O tym, co możesz zobaczyć, jadąc do Ameryki Południowej, Tajlandii czy sąsiedniej Ukrainy? Atrakcje nie zawsze są wielkie. Coraz częściej są małe, niewinne i niepełnoletnie. Piękna trzynastoletnia Azjatka o niebieskich oczach. Straciła matkę, ojciec, żeby utrzymać rodzinę, zgodził się, żeby wyruszyła do pracy zaproponowanej przez jedną z azjatyckich agencji. Pensję dostała z góry 500 dolarów za kilka lat w „znanym zakładzie o wysokiej renomie." Długa podróż pełna wielkich marzeń i nadziei. Lądowanie w Tajlandii, hotel z dziwnymi zasłonami i wielkim neonem. Duże łóżko i kajdanki. To właśnie ją możesz kupić za 200 dolarów, jako twoją własną, „spragnioną młodą dziewicę". O ile nie spłonie jak jej koleżanki na wyspie Phuket, 5 młodych dziewczynek usmażonych żywcem tylko przez to, że zostały skute, aby nie uciec właścicielowi. No ale po kilku latach będzie już wolna, prawda? Nie do końca. Wypłatę już dostała, a nie mieszka przecież w hotelu za darmo. Skromne racje żywnościowe też nie są darmowe. Szybko okazuje się, że dziewczynka, coraz bardziej zadłużona, jest bezterminową własnością.

To wszystko daleko, to wszystko nieprawda. Ludzki umysł we wspaniały sposób potrafi zagłuszyć niekorzystne dla siebie informacje. Ale czy potrafią to także oczy? Co pomyśleli współpracownicy zmarłego północnokoreańskiego spawacza w największej

stoczni w rejonie Gdańska? Doznał on poparzeń 95 proc. powierzchni ciała. Wszystko w wyniku nieprawidłowego wyposażenia i niebezpiecznych praktyk pracy. Portal VICE ponad trzy lata temu nagłośnił sprawę niewolników z Północnej Korei pracujących w Polsce za pieniądze wędrujące przez sieć różnych spółek i firm wprost do rąk Koreańskiej Partii Pracy. Takich jak tragicznie zmarły spawacz jest legalnie 800 do tysiąca, o nielegalnych obywatelach KRLD informacji lepiej nie szukać. Pracują w stoczniach, budownictwie dla największych polskich spółek. Przy produkcji mebli, w rolnictwie czy nawet medycynie i finansach. Po 6 dni w tygodniu. Pod okiem strażników, śpiąc w celach po 5 osób. Z pracy do baraków na wsi, poruszają się tylko w grupach. Bez komórek, bez gotówki. Odwożeni i zawożeni w autokarach. Bezwzględny zakaz zatrudniania pracowników (a faktycznie niewolników) z tej części świata wydały Czechy, Rumunia i Bułgaria. Władze Polski problemu nie widzą.

To jednak wszystko wciąż ludzie zza granicy, z drugiego końca świata. Dla niektórych być może nie stanowią także problemu, w końcu to niewolnicy u nas. Budują nasze domy. Jednak każdy Pan ma swojego Pana. Trzy lata temu w zachodniej Anglii tamtejsze służby wykryły, że 11 Polaków pracujących w lokalnej sortowni śmieci było przetrzymywanych tam wbrew ich woli. Spali na kartonach, z oznakami niedożywienia i uzależniania od alkoholu. Bez opieki medycznej, jeden ze złamanym barkiem. Wykrytych przez służby przypadków pracy przymusowej w samej tylko Wielkiej Brytanii przez ostatnie lata było ponad 400. Polacy najczęściej wykorzystywani są w rolnictwie, budownictwie i fabrykach. Choć powoli mijają czasy „polskich niewolnic", wykorzystywanych do opieki nad osobami starszymi i seksturystyki, to problem zniewolonych współrodaków wciąż rośnie. Zmienia się tylko jego struktura. Zamiast kobiet sprzedawanych do seksbiznesu coraz więcej niewolników to osoby w gorszej sytuacji, mężczyźni szukający sukcesu na emigracji, którzy zostają tam wykorzystani. I jeśli wracają do macierzy, co wcale nie zdarza się często, to w dużo gorszej sytuacji niż ta, w której wyjeżdżali.

Powyższe przypadki, to tylko najczęstsze formy niewolnictwa znanego od wieków, fizycznego. Pracy pod przymusem. Stereotypy, które są dużo lepsze od rzeczywistości. Bo ta ciągle się miesza. Zamiast Koreańczyków w Polsce w niewolę wpada coraz więcej Ukraińców. Polacy natomiast coraz częściej zostają ofiarami na zagranicznych wycieczkach. Świat pędzi i żadne konwencje ani prawa nie są w stanie nadążyć za jego okrucieństwem. Jedno pozostaje niezmienne. Niewolnictwo istnieje, istnieje i ma się coraz lepiej. Niczym złośliwy wirus ciągle ewoluuje, mutuje i przybiera nowe twarze, a przy tym rozprzestrzenia się po świecie coraz bardziej. Niewola rozszerza swoje macki na nieznane dotąd obszary.

To już nie tylko coraz to nowsze gałęzie seksbiznesu i prostytucji. Zmuszanie do pracy niewolniczej, przymuszanie do żebractwa, kradzieży i wymuszeń. Przymusowe małżeństwa czy handel organami. Niewolnictwo jest wszędzie, już nie tak proste i oczywiste jak w przeszłości. Przykład? Gry MMO. Kto z nas nie grał lub nie słyszał o tym fenomenie. Tysiące graczy w jednym wirtualnym pokoju zwanym serwerem. Mijają się, rozmawiają i wchodzą w interakcję podczas zwiedzania wirtualnego świata. Rozrywka, przyjemność, może marnowanie czasu. Tym dla większości z nas są takie gry. Właśnie, dla większości. Wyobraźmy sobie teraz granie w taką grę 12 godzin. Szaleństwo? Pewnie tak. Uzależnienie? Może. Niewolnictwo? Tak, ale nawet nie te wynikające ze wpadnięcia w sieci mechanik takiej gry. To przymusowa praca. Chińskie więzienia wykorzystują osadzonych do zdobywania wirtualnych walut, które potem sprzedają bogatszym graczom z Europy i Stanów Zjednoczonych. Czym różni się to od niewolniczej pracy na plantacji? Praca dzień w dzień po 12 godzin przed kineskopowymi monitorami. W przerażających sanitarnych warunkach. Niewolnictwo to nie echo przeszłości. Problem, który wyeliminuje cudowny postęp cywilizacyjny. Bo to on znajduje dla niego coraz to nowsze i bardziej przerażające zastosowania. Niewolnictwo siedzi w nas. Ciche przyzwolenie tych, których nie dotyka, sprawia, że pomimo usilnych starań organizacji czy aktywistów, problem cichnie. Podczas koncepcyjnych prac nad tym numerem myśleliśmy, że wykorzystamy ten temat jako potencjał popkulturowy, przecież powszechnie przyjmuje się, że postapo będzie powrotem do przeszłości, z niewolnictwem, gladiatorami i całą resztą. Niewolnictwo to jednak nie przeszłość. Niewolnictwo to teraźniejszość.

Kacper *„Rodrrik"* Kandora

TYRANIA BEZPIECZEŃSTWA

Kazanie o odpowiedzialności – pierwsze i ostatnie

Felieton

Wkurza mnie – wrodzona subtelność nie pozwala na użycie właściwego, dosadnego określenia – troska władzy o moje bezpieczeństwo. Troska perfidna, fałszywa, pełna złej woli. Oczywiście władza nie uwzięła się na mnie. Uparła się otoczyć troskliwą opieką wszystkich obywateli. Dostaję tylko przy okazji, mimochodem, jak każdy.

Jeszcze bardziej wkurzają mnie współobywatele, bezrefleksyjnie łykający prymitywną popkulturową papkę. Wszyscy mają żyć szczęśliwie i … no właśnie, baśniowe długo, to o wiele za mało. Najlepiej wiecznie. Mają być młodzi, piękni, zdrowi i bogaci. Jak nie są, to powinni zgrabnie udawać, w trosce o moralny komfort otoczenia. Odsunięte w czasie koszty takiej postawy pozostają ukryte. Sam nic na to nie poradzę. Trzeba zmienić klimat. Najlepiej od razu w całej Europie. Nadmiar ambicji? Zapewne, ale samo się nie zrobi, a od czegoś trzeba zacząć. Najlepiej od konkretu, bo pseudofilozoficzne rozważania mogłyby zniechęcić.

Scyzoryk, niekoniecznie od razu szwajcarski, był marzeniem każdego chłopaka w czasach mojej młodości. Atrybutem męskości. Harcerz miał finkę, a niezrzeszony chociaż byle jaki kozik. Tym nożykiem robił łódki z kory albo wycinał z niej Mikołaja na szkolnej plastyce. Ewentualnie rzeźbił sobie w kostce szarego mydła, albo sporządzał pieczątki z ziemniaka. Stoły z imadłami w pracowni wychowania technicznego umożliwiały obróbkę drewna, a młotki i piły wydawał dyżurny. Program przewidywał nawet naukę obsługi elektrycznej wiertarki. Tylko wiertarki nie było. Uroki Peerelu.

Dziś niewyobrażalne. Dziecko z nożem!? W szkole? Nawet harcerze usunęli cichaczem finkę ze swego stroju. Błąka się jeszcze w Wikipedii, pewnie na zasadzie tradycji, ale w oficjalnych regulaminach jej nie ma. Uczniowie „namiętnie" zajmują się papieroplastyką. Nie mam nic przeciw szlachetnej sztuce orgiami (ani masie solnej), przeciwnie, doceniam, znam i uprawiam, ale czy to może dać satysfakcję dorastającemu chłopakowi (lub dziewczynie)? Tępe nożyczki w roli narzędzia kształtującego świat? Nie mówię o pierwszoklasistach, tylko o końcowych klasach podstawówki. Jak tak dalej pójdzie, to z programu wykreślą geometrię, bo cyrkiel jest niebezpieczny.

W której licealnej pracowni chemicznej odpala się jeszcze bunsenowskie palniki? Były przy każdej ławce i podstawowe doświadczenia musieli wykonać wszyscy. A dziś? Nawet rurki doprowadzające gaz gdzieniegdzie (jak była okazja do remontu) wycięto. Rzecz jasna był centralny zawór i szkoły wysadzić się nie dało, ale obsesja rządzi się swoimi prawami. Jeszcze jakiś debil (za używanie przestarzałej terminologii psychiatrycznej nieszczerze przepraszam) by odkręcił i nauczyciel poszedłby siedzieć. Jeśli w ogóle jest doświadczenie, to w formie prezentacji, pod czujnym okiem belfra. Biedny nadgorliwiec z misją. Filmik na jutubie by puścił, byłby jednocześnie kryty i nowoczesny.

Furda chemia! w której szkole używane są kuchenki gazowe? Tu się troszkę zapędziłem, wprawdzie przygotowywanie kanapek i sałatek na lekcjach było rutynową praktyką (wraca motyw noża), to jednak kuchenki uruchamiano z najwyższą niechęcią. Były jednak. Gdzie są nadal? W szkołach specjalnych. W klasach dla dzieci niepełnosprawnych umysłowo, gdzie na kucharzy kształcą. Coś tu nie po kolei. One mogą i potrafią, a tak zwane „normalne" dzieci nie? Nie powinny umieć gotować? Błąd. To nie ma to żadnego znaczenia.

Nie namawiam, chroń mnie Panie Boże, do dawania dzisiejszym dzieciom do ręki noży, pił, gwoździ młotków czy wiertarek, albo na dopuszczanie ich do palników gazowych z odczynnikami w kruchych probówkach. Teksańska masakra piłą mechaniczną mogłaby się okazać niewinną igraszką wobec tego, co mogłoby się zdarzyć w takim wypadku. One tego nie umieją, choć tylko jedno pokolenie wcześniej dzieci nie miały z tym problemu. Nie chodzi o motorykę czy brak technicznych umiejętności. To możliwe do nadrobienia, o ile zauważy się taką potrzebę i powstanie taka możliwość, bo życzliwego sąsiada, opieki społecznej, czy też czujnego prokuratora nie można lekceważyć.

Problemem leży głębiej.

Przy ładnej pogodzie wszystkie dłuższe przerwy spędzaliśmy na tak zwanym tarasie, dużym podwórku sąsiadującym ze szkolnym boiskiem. Teraz to parking. I bardzo dobrze! Co się ma plac marnować, skoro dzieci i tak nie wychodzą. Oficjalnym powodem jest – jakżeby inaczej – troska o ich bezpieczeństwo. Faktycznym, obawa nauczycieli przed konsekwencjami ewentualnego wypadku. Kilku dziesiątek dzieciaków nie da się upilnować? Niby dziwne, bo kiedyś się dało, ale prawdziwe. Doszło do tego, że licealną młodzież więzi się w murach szkoły! Wbrew obowiązującemu rozporządzeniu (niegdysiejszego) ministra. Bo są inne – de facto, sprzeczne z nim – rozporządzenia. Scyzoryk się w kieszeni otwiera (jeśli jest), ale nie należy się zbytnio dziwić dyrektorom. Za uwięzienie nikt nie poniesie konsekwencji, za wypadek – przeciwnie.

Jak się nie przewrócisz, to się nie nauczysz?

Akurat ta ludowa mądrość została skutecznie wyparta ze świadomości rodziców. Niezależnie od hurtowego wartościowania tychże (licznie cytowanych tu) mądrości – bo na każdą okazję jakąś można znaleźć (widać ludowi sprzeczności nie przeszkadzały) – akurat ta ma niezłą podbudowę. Najlepiej uczymy się działając. Nie chodzi tylko o prozaiczną konstatację, że nie da się teoretycznie opanować jazdy na rowerze czy na nartach.

Działając w grupie spontanicznie uczymy się zasad współdziałania i odpowiedzialności. Żadne grupowe projekty edukacyjne nie są w stanie tego zastąpić. Stanowią tylko nędzną namiastkę.

Brak możliwości swobodnego kreowania zabawy i jej zasad jest największą krzywdą, jaką wyrządzamy naszym dzieciom.

Kastrujemy nie tylko ich wyobraźnię, ale i poczucie odpowiedzialności. W imię bezpieczeństwa.

Gdzie jeszcze można spotkać bandy dzieciaków budujące swoje tajne „bazy"? Ich główną atrakcją był brak nadzoru rodzicielskiego. Nieco iluzoryczny, bo dorośli z reguły dobrze wiedzieli z kim, gdzie i jak dzieci się bawią, ale nie wpadali w panikę nie znając szczegółów. Najwyżej było kazanie (z nierealizowaną groźbą lania w tle) za drastyczne spóźnienie się na obiad lub powrót mocno po zmroku. Dzisiejsi rodzice są przerażeni, jeśli dziecko nie odbierze komórki po pierwszym sygnale. Przepraszam, mamy wojnę? Okupację? Inwazję zombie? Czego tak się boją? A jednak jest coś na rzeczy, jak się okaże, bo ciężar rodzicielskiej odpowiedzialności wzrósł niepomiernie.

To tylko fragmencik degradowanej rzeczywistości, opisany dla milczącej większości, która jeszcze nie utonęła bez reszty w tym lepkim nurcie. Wczułem się w rolę niedoszłego (bo fabularyzacja nie została ujawniona) kapelana Trzynastego Schronu. Forma pseudo kazania pozwoliła uniknąć dzielenia włosa na czworo. Generalizacje przesadne, kwantyfikatory za duże, ale czy przypadkiem nie ma czegoś na rzeczy? Czy w tym krzywym lustrze nie widać znajomego zarysu?

Błahe strzępki zmieniającej się codzienności – proste obrazki, porównania w pigułce nie mogą być dowodem. Przydałoby się porządne badanie socjologiczne, ale możliwości brak. Musi starczyć to, co jest. Obrazki dobrane tematycznie – o wychowaniu – dla spójności wywodu, ale można je mnożyć w nieskończoność, bo gdzie nie spojrzeć, widać to samo. Wybrany fragment tejże rzeczywistości jest nie tylko ważny, ale ma jeszcze inną zaletę – wszyscy go znają. Nie wszyscy mają dzieci, ale wszyscy dziećmi byli, więc powinni jeszcze co nieco pamiętać. Jeden z cieni na tych obrazkach powtarza się i rozlewa coraz bardziej. Co robimy naszym dzieciom? Co zrobimy sobie w nieodległej już przyszłości?

Wprawdzie jeszcze jakieś ilustracje będą, ale można już pokusić się na podsumowanie. Postawić tezę.

W imię bezpieczeństwa skrajnie utrudniamy dzieciom działanie w rzeczywistym świecie.

Uniemożliwiamy nabywanie doświadczeń (niechby i przykrych) oraz umiejętności samodzielnego rozwiązywania problemów. Skoro nic od dzieci nie zależy, to logicznie i konsekwentnie, mają wszystko w dupie, właśnie dlatego, że są dostatecznie inteligentne, by to zauważyć i wyciągnąć wnioski. Skrajna nieodpowiedzialność jest na porządku dziennym. Dzieci są zagrożeniem dla siebie, kolegów i wszystkich

wokół, rodziców nie wyłączając. A my? Podejmujemy działania, fragmentaryczne, powierzchowne i często pozorne. Czyli przeciwskuteczne. Potęgujemy problem, zamiast go rozwiązywać.

Co fundujemy swoim dzieciom takim postępowaniem? Po pierwsze, wpychamy je w sieć. Gdzieś się muszą sprawdzić i wyszaleć, a Internetu starsze pokolenie nie ogarnia, więc kontrola jest iluzoryczna. Skoro wolność jest (w ich – błędnym! – mniemaniu) w sieci, to do sieci się przenoszą. Rodzic w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku cieszy się, że potomek siedzi grzecznie w domu, a on tymczasem buszuje w najciemniejszych zakamarkach internetów. Jak rodzic upierdliwy, to pod kołdrą, z komórki, która stała się częścią jego tożsamości. Który z rodziców ustawił antypornograficzny filtr w przeglądarce? A który dzieciak nie potrafi go usunąć?

Towarzyszy temu nieustanny i nieusuwalny stres, bo sieć jest bezlitosna, a rywalizacja o kształt wizerunku skłania do ryzykownych zachowań. Depresja wielce prawdopodobna, bo małolat eksperymentuje na sobie. Do tego otyłość, cukrzyca, wady postawy, krótkowzroczność… Współczesne dzieci nie są w stanie sprostać normom sprawności sprzed 30 lat. Wystarczy porozmawiać z wuefistą albo przyjrzeć się tabelkom. Czy tego chcemy? Obawiam się, że nikt się nad tym nie zastanawia. Choroby cywilizacyjne i parę innych nieciekawych konsekwencji dostajemy w pakiecie z „bezpieczeństwem". Tylko nikt tego nie łączy.

Przebija nostalgia za czasami, kiedy byłem młody i piękny, życie było proste, na wszystko miałem czas, a przyszłość nęciła obietnicami? Z całą pewnością. Jest taki składnik w tym wywodzie. Czy jednak da się go zredukować do zrzędzenia starego piernika? Nie sądzę. Coś się zmieniło. Powstaje nowy świat, a asekuracja, to jego tajemna, istotowa nazwa. Nie chodzi o to by wygrać, tylko o to, by za wszelką cenę nie przegrać. Ktoś mówił o zmierzchu cywilizacji Zachodu? Miał rację. Indywidualna odpowiedzialność, na której była ona – górnolotnie mówiąc – ufundowana, właśnie idzie się paść. Wszechobecna kontrola i nadzór skutecznie ją rozmywają. Pozostaje gra pozorów.

Nasza przyszłość jest poważnie zagrożona.

Nie mam na myśli żadnej katastrofy. Codzienność skrzeczy. Nieodpowiedzialny lekarz czy nauczyciel? Podziękuję. Polityk? Od polityków już dziś nikt niczego nie oczekuje. Mąż stanu to figura czysto retoryczna. Ani studia, ani (w razie jakiegoś Bum) specjalistyczna wiedza i umiejętności preppersów, specjalsów czy traperów dzieciom nie pomogą, bo one po prostu nie wiedzą na czym polega odpowiedzialność. To nie jest pojęcie z ich świata. Zostawienie pijanego kumpla było kiedyś niewybaczalnym złamaniem norm młodocianej bandy. Dziś prawie nikogo nie razi. Na zasadzie: wiedział co robi, a ja nie pisałem się na niańkę. Kontrakt nie został spisany, więc o co cho?

Co się zmieniło w tym, krótkim w sumie, czasie jednego

pokolenia? U nas? Wszystko – tak brzmiałaby najkrótsza odpowiedź. To jedna z kluczowych konstatacji. Zakres i tempo zmian obezwładniły rodziców. Nie tęsknię za Peerelem, ani peerelowską szkołą. Miałem okazję do niej chodzić, a nawet uczyć w niej przez krótki czas. Była – na wzór państwa – autorytarna i podatna na nadużycia. Jednak zakres wolności jaką dawała uczniom, był – paradoksalnie – znacznie większy. Nie twierdzę, że wynikało to z intencji władzy. Po prostu nie mogła ona, mimo chęci, bardziej przykręcić śruby. Dziś, mając na ustach frazesy o wolności, korzystamy ochoczo z niedostępnych kiedyś możliwości. Czy należy z nich korzystać? Warto przynajmniej rozpatrzeć konsekwencje istniejącego systemu inwigilacji i kontroli.

Filozoficzny fragment, którego niestety nie można ominąć, bo trzeba powiązać wolność z odpowiedzialnością. Nie jest ona techniczną umiejętnością. Jest wieloaspektowa, zmienna i lekko niedookreślona. To zobowiązanie, naturalne (jak u rodzica) bądź kontraktowe (w wypadku kapitana statku, czy nauczyciela), wobec innych, którzy znajdują się w naszej pieczy. Może odnosić się tak do przeszłości, jak i do przyszłości. Żeby w ogóle mówić o odpowiedzialności muszą być spełnione trzy warunki. Podstawowym jest moc sprawcza, czyli realny wpływ na świat. Znaczenie ma też możliwość kontroli nad podjętymi działaniami oraz zdolność do przewidzenia – przynajmniej w jakimś stopniu – skutków działań.

Możliwość ponoszenia formalnej, prawnej odpowiedzialności, rozumianą jako konieczność zadośćuczynienia za krzywdę powstałą na skutek naszych (lub naszych dzieci) działań, uzyskujemy automatycznie, wraz z dorosłością. Predyspozycje, nazwijmy je instynktem opiekuńczym, są w pewnej mierze wrodzone. Ale reszta, czyli przewidywanie skutków oraz zebrany bagaż doświadczeń (poczucie sprawstwa i kontroli) zależą także od wychowania i intelektu. Wymagają jednak wolności, rosnącej proporcjonalnie do stopnia dojrzałości. Młody człowiek, formalnie nieodpowiedzialny, musi się nauczyć odpowiadać za swoje czyny. Na początek przed rodzicami. Czy dajemy dzieciom jakąkolwiek szansę?

Wierzymy w magię? Osiemnastka, impreza i dowód osobisty. Nagle wszystko wolno. z funkcjonariusza spada garb urzędowej odpowiedzialności. Z rodzica niekoniecznie. A młody? Zależnie od temperamentu, nadrabia stracone lata szalejąc albo, ze strachu/wygody żyje na mamusinym garnuszku dopóki się da. Niechętnie zakłada rodzinę, ale czasem dziecko się trafi. Niestety. Mało takich?

Ilu dziadków robi dziś za rodziców? Próbują odkupić swoje winy?

Chowany pod kloszem, niedojrzały pełnoletni skutecznie zadba o siebie. Jeśli w miarę inteligentny, to będzie umiejętnie krył własny tyłek, mając przy tym pretensje do całego świata. Tego go nauczono, nawet jeśli oficjalnie uczono czegoś innego.

Alibi to podstawa.

Rzecz jasna nie można wykluczać z góry, że nie dorośnie i nie poczuje czym jest odpowiedzialność, ale tak stać się może wbrew, a nie dzięki obowiązującemu modelowi wychowania. *Czy naprawdę chcemy żyć w kulturze opartej na alibi i asekuracji? Zarobią tylko prawnicy i ubezpieczyciele.*

Zmieniły się podstawowe założenia programu wychowania i kształcenia. Nikt formalnie nie zadekretował zmiany, ale ten ukryty program jest konsekwentnie realizowany. Nie należy tego ograniczać do szkoły. Najważniejsze by nikt się nie czepiał. Kto podmienił program? My wszyscy, acz nie wszyscy w tym samym stopniu. Rodzice, szkoła i władze oświatowe to swoisty trójkąt bermudzki, w którym znika odpowiedzialność. Nie tylko dzieci. A one patrzą i wyciągają wnioski.

Mówią, że ryba psuje się od głowy, ale władza – daleka od ideału – nie jest inicjatorem tego procesu. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza zmieniała się tak często, zwykle w kontrze do poprzedniej, że tylko skrajny fan teorii spiskowych mógłby utrzymywać, że realizuje ona konsekwentną politykę, wprowadza w życie jakiś tajny plan. Szkołę też można wykluczyć. Sformalizowana, nieruchawa instytucja nie jest zdolna do samorzutnych zmian. Przeciwnie, zmian nie lubi, a bierny opór, to jej sposób działania. Serce tego procesu bije w rodzicielskiej piersi, i w tę pierś rodzice powinni się uderzyć. Oskarżam niewinnych? Nie ma takich.

Milcząca większość zezwoliła na zmianę reguł, w imię świętego spokoju.

Moja chata skraja. Można i tak, ale całe życie w jednej chacie?

Przerzucenie odpowiedzialności na media, które skutecznie straszą, bo muszą zarobić – zgodnie z zasadą; tylko zła wiadomość jest dobrą (dla nich) wiadomością – byłoby zbytnim uproszczeniem. To tylko dodatkowa pożywka. Strach tkwi głębiej. Pot rosi czoło, adrenalina podnosi ciśnienie, a emocje zaćmiewają rozsądek. To pierwotny lęk o przyszłość dziecka – jak ono da sobie radę w tym złym (ukłon w stronę masmediów) świecie? Skoro w ciągu jednego pokolenia zmieniło się wszystko – na zmiany cywilizacyjne nałożyła się zmiana ustroju – to zniknęły punkty orientacyjne. Jaką szkołę wybrać? Jaki zawód zapewni dziecku dobrą przyszłość? Jak zmaksymalizować jego szanse? Podnieść atrakcyjność?

I rodzic się wkręca w futurologię, próbuje przewidzieć przyszły kształt świata, w którym pewna jest tylko zmiana. Rodziciel planuje, kształci kolejne umiejętności

mogące się przydać. Stąd korepetycje od najmłodszych lat, bo lekarz/prawnik/inżynier (niepotrzebne skreślić) będzie miał dobrze. Szkoła muzyczna, bo rozwija umysł, nieważne że talentu brak. Taniec towarzyski, tenis, a może karate? Najlepiej wszystko jednocześnie. Takie umiejętności mogą pomóc w karierze, a odporność, siła woli i pewność siebie zawsze się przyda.

Nie przeczę, ale zbyt często umyka najważniejsze. Że to jego życie, a za przymusowe doskonalenie potomek nie weźmie odpowiedzialności.

Dopóki będziemy wychowywać dzieci dla siebie, a nie dla nich samych, godząc się z ich wyborami i nieusuwalnym ryzykiem, to sytuacja się nie zmieni.

Tu wróbel w garści nie jest lepszy od gołębia na dachu, bo wróbla nie ma.

Brak odpowiedzialności jest większym ryzykiem niż ryzyko towarzyszące jej nabywaniu.

Nikt nie jest pociągany do odpowiedzialności za późniejsze, niezamierzone skutki jakiegoś podjętego w dobrej wierze, przemyślanego i dobrze wykonanego działania. Nikt, oprócz rodzica. Przed pretensjami do samego siebie nic go nie uchroni. Jeśli dołączą się zarzuty ze strony dzieci, już pełnoletnich, a wciąż niedojrzałych i nieodpowiedzialnych, to poczucie życiowej klęski gwarantowane. Dorośli, odpowiedzialni potomkowie nie będą mieli pretensji. Egoistyczna z gruntu argumentacja, ale może trafi?

Konstrukcja psychiczna potomków nieodpowiedzialnych i nadopiekuńczych rodziców może się bardzo różnić, ale podstawowy rys – zagrożenie nieodpowiedzialnością – jest wspólny. w rodzicielskich wysiłkach wskazany jest złoty środek. Już Arystoteles wymyślił taką etyczną zasadę, ale nie da się ukryć, że znacznie łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Trzeba jednak robić swoje, a nie zamykać oczy, czy tłumaczyć się – nieszczerze – jakąś pedagogiczną ideologią. Są rzeczy, które rodzic powinien wziąć na klatę, a nie spychać na potomka.

Postulat zapewnienia dzieciom wolności niezbędnej do prawidłowego rozwoju nie powinien się kojarzyć z modną niegdyś u nas karykaturą bezstresowego wychowania. Jest wręcz jej przeciwieństwem, bo chodzi w nim o wystawienie na stres i samodzielne (pod dyskretną kontrolą, czy aby wyzwanie nie przekracza możliwości dziecka) rozwiązywanie problemów przez wychowanka. Bezstresowa koncepcja, obecna u nas w zwulgaryzowanej formie, stanowiącej pedagogiczny odpowiednik mitu „dobrego dzikusa", ciągle odbija się czkawką. Była świetnym uzasadnieniem nicnierobienia.

Wszystko miało się samo wyprostować. Kiedyś.

Większość rodziców dostrzegła – przynajmniej teoretycznie – konieczność wyznaczania granic i reguł.

Dobre i to, ale samodzielność nadal nie jest w cenie.

Strach o dziecko był zawsze, jest naturalny i w pełni zrozumiały. Problemem jest przesada, próba ogarnięcia i przewidzenia tego, czego przewidzieć się nie da. W szkołach specjalnych znacząco mniejszym, bo chodzą tam głównie dzieci z rodzin zaniedbujących ich wychowanie (znacząca część tych dzieci – tak na marginesie – nie powinna się wcale tam znajdować), więc im aż tak nie zależy. Nawet nie wiedzą co mogą. Za to rodzice dzieci ze szkół powszechnych są nie tylko skutecznie przestraszeni, ale i dobrze uświadomieni. Podstawowe założenie jest bardzo proste. Cokolwiek się stanie lub nie stanie, cokolwiek zaburzy rodzicielską idealną wizję rozwoju potomka, musi być niewątpliwie czyjąś winą. Ktoś powinien za to beknąć. Strach podbity nieufnością – fatalna kompozycja. Zrozumiała, ale niewybaczalna.

Oczywiście zawsze byli różni rodzice, w tym także nadopiekuńczy, wyręczający, tłumaczący każdy wybryk swojej pociechy (moje numero uno – kupa na środku przebieralni na basenie), uparcie zaprzeczający istnieniu jakichkolwiek problemów, mający jednak pretensje do wszystkich wokół. Na zasadzie, co złego, to nie ja. Innymi słowy, rodzice unikający w ten sposób wzięcia odpowiedzialności za wychowania swego dziecka. Ich liczba wzrosła i przekroczyła masę krytyczną.

Agresywna mniejszość nadaje ton.

To już nie jest prosta, pokoleniowa reprodukcja. Musi istnieć czynnik, stała i silna presja selekcyjna, który promuje tego typu zachowania.

Rezonatorem jest władza (właśnie kasujemy trójpodział, więc użycie tego ogólnego terminu nie jest intelektualnym nadużyciem), chętnie odpowiadająca na obawy wyborców. Żadnego niecnego planu nie realizuje, nie jest w stanie, ale skutecznie gotuje żabę, zmieniając przepisy. To nie raport o stanie państwa, więc ogólniki muszą wystarczyć. Mamy do czynienia z zasadą zaplanowanej nieodpowiedzialności. Podstawowym elementem każdej nowej regulacji jest możliwość umycia rąk przez władzę, zepchnięcia odpowiedzialności w dół, na samorząd, szkołę, a szczególnie na rodziców, którzy łykają pozorne przywileje niczym karmny gąsior gałki, nie bacząc na skutki.

Wszawica wróciła. i nie można się jej pozbyć. W XXI wieku! Bo szkolna pielęgniarka potrzebuje zgody rodziców na przegląd uczniowskiej głowy! Bez niej nie może zobaczyć wesz i gnid. Wystarczy jeden oporny opiekun, by reszta została ubezwłasnowolniona i bezradna. Umycie rąk w stanie czystym. Władza nie jest stroną, nie przeszkadza przecież w dogadaniu się. Bujajcie się sami.

Szczepienia (teoretycznie) obowiązkowe, to jeszcze większy gnój. Obowiązek jest, ale jadącym na gapę nic nie grozi. Zakaz przyjmowania do przedszkoli nieszczepionych dzieci? Ostatnio we Włoszech. U nas niemożliwe. Po co narażać się wyborcom?

Kolejni ministrowie wierzą, że autyzm można wszczepić?

Czekamy na epidemię (koklusz już się pojawił). a na razie – ponieważ epidemii nie ma – byle do jutra, z nadzieją, że wybory będą wcześniej.

Bezpieczna szkoła jest piękną ideą, ale czy zawszony rozsadnik epidemii będzie bezpieczny? Śmiem wątpić.

Bezpieczeństwo jest tylko hasłem które otwiera władzy drzwi do Sezamu.

Może brać co chce, byle było bezpiecznie. Państwo chętnie złoży daleko idące obietnice, szczególnie jeśli w zamian dostanie konkretne uprawnienia, jednak nie jest w stanie ich spełnić. Skoro każde kolejne pokolenie ma coraz większy deficyt odpowiedzialności, to spotęgowanie kontroli jest jedyną logiczną – z punktu widzenia władzy – odpowiedzią. Sprzężenie zwrotne skutkujące postępującym zdziecinnieniem kolejnych pokoleń (jeszcze)obywateli. Sami ochoczo dorzucamy jej kolejne atuty. Ciekawe kiedy i w jaki sposób zostaną wykorzystane.

Szkoła jest trzecim wierzchołkiem wspomnianego trójkąta. Ma pewną autonomię, ale pełni funkcję usługową. Oprócz wychowania i wiedzy ma zapewnić poziom bezpieczeństwa oczekiwany przez rodziców i określony w przepisach. Nauczyciel ponosi odpowiedzialność w ramach kontraktu, nie ma ona totalnego – jak u rodzica i polityka – charakteru, więc nie powinien narzekać. Ma tyle odpowiedzialności, ile swobody działania mu pozostawiono. A ta się zmniejsza. Nieodłącznym fragmentem każdej regulacji jest szczegółowy opis procedur kontrolnych. I bardzo dobrze! Nie można wykluczyć nadużyć i zaniedbań ze strony opiekunów. Jednak wyraźne uprzywilejowanie formalnej kontroli każdego działania, a nie kontroli jego efektów, sprawia, że szkoła, oficjalnie podkreślająca rolę wychowania oraz indywidualizacji, zaczyna przypominać fabrykę śrubek. Papier – plan, procedura i sprawozdanie – to podstawa. A papier wszystko przyjmie.

Można by dużo o szkole, ale po co?

Jest tylko pochodną interesów rodziców i władzy.

Jednak jeden element zasługuje na podkreślenie w kontekście poruszanego tematu. Frustrację belfrów może budzić spychotechnika. Ważne dokumenty – podstawy programowe – są pisane przez anonimowych ekspertów na kolanie, na długiej przerwie. Korelacja pomiędzy przedmiotami? Fikcja. Na matmie jeszcze nie przerabiali, ale na fizyce potrzebne już. Polonista

na historyka liczyć nie może, bo programy się rozjechały. Każdy sobie rzepkę skrobie, ale cyrograf – że wybrał program i podręcznik spełniający wszystkie wymagania – musi co roku podpisać. Żadna nowość, po jakimś czasie się dotrze, ale wtedy będzie zapewne kolejna reforma.

A na dole kwitnie wojna na kwity. Rodzice hurtowo podpisują coraz bardziej rozbudowane zgody na udział swych pociech w szkolnych wycieczkach i innych atrakcjach. Że się zgadzają, że zostali wyczerpująco poinformowani… . Niedopatrzeniem jest brak rubryczki na podpis potwierdzający, że zrozumieli, to co podpisali. Ponieważ prawna wartość takich kwitów jest wątpliwa, nauczyciele kupują dodatkowe ubezpieczenia na wycieczki (bo – idioci! – ubezpieczeni od uczniowskich ciąż – ciągle jeżdżą), a na cyklicznych szkoleniach rad pedagogicznych poświęconych zmianom w prawie oświatowym i przepisach BHP, są uświadamiani jakiego ryzyka nie brali dotąd pod uwagę i co powinni zrobić, żeby robić to co robią w zgodzie z literą prawa. Najogólniejszy wniosek jest prosty – *najlepiej nie robić nic, poza tym co nakazane.*

Nawet merytoryczna wiedza nabywana w szkole stoi pod znakiem zapytania. Kiedyś dziecko musiało wykazać, że umie, dziś, to nauczyciel ma udowodnić, że ono nie umie. Belfer jest na cenzurowanym – oceny przewidywane, tryb odwoławczy, egzaminy sprawdzające. Po co mu problemy i pretensje?

Konformizm się włącza.

Nieważne co dzieci umieją lub czego nie umieją, byle miały oceny na miarę rodzicielskich oczekiwań. Szkolne stopnie przestały być w miarę obiektywną informacją o uczniowskich predyspozycjach i pasjach, a stały się grą rodzicielskich ambicji. Zła ocena? Zły nauczyciel, bo nie potrafił nauczyć.

Żeby nie było, nie opisuję stanu faktycznego, ale taka jest logika systemu, więc wcześniej czy później tak będzie. Skutek? Dziecko nie odpowiada nawet za oceny uzyskane w szkole, a przecież – jakże często – ma się tylko uczyć, nie mając żadnych innych obowiązków. Patrzy jednak uważnie na rodziców i nauczycieli. Uczy się. Na szczęście poczynania władzy raczej nie są dlań dostępne.

No dobra, może jednak dzięki temu będzie bardziej bezpiecznie? Wprawdzie poświęcamy wolność (i nieodłączną od niej odpowiedzialność), ale czy ten handel wartościami jednak nam się nie opłaci? W końcu bezpieczeństwo musi mieć swoją cenę i nie da się ukryć, że się poprawiło. Kluczowe są koszty – już teraz nadmierne – i finał. Co otrzymamy na końcu tej drogi? Docelowo nie dostaniemy nic, śliczne, okrągłe zero. Nie mamy pańskiego płaszcza. I co nam pan zrobi? Misiu się Państwu kłania nisko.

Można mieć uzasadnione wątpliwości, co do zasad konstrukcji naszego świata, skoro wszystkie rodzaje zła mogą bez problemu współwystępować w nim w maksymalnym natężeniu, a różne rodzaje dobra są wobec siebie konkurencyjne. Tak ma się sprawa z wolnością i bezpieczeństwem. Brak jakichkolwiek ograniczeń, czyli absolutna wolność, oznacza utratę bezpieczeństwa. Nie wiadomo kto, kiedy i w jaki sposób nam dowali w anarchicznej rzeczywistości. Z kolei absolutne bezpieczeństwo oznacza izolację, każda emocja, związek czy decyzja jest zagrożeniem. Tak rozumiane bezpieczeństwo można osiągnąć tylko w jednoosobowym więzieniu, niczym Hess w Spandau, lub Robinson na zasobnej, bezludnej wyspie. Trudno to uznać za atrakcyjne i trwałe rozwiązanie, bo i tu koniec jest bliski, tyle że z rąk własnych. Samotność (też choroba cywilizacyjna) zabija równie skutecznie jak anarchia.

Konstrukcja świata nie musi się podobać, ale nie sposób się z nią kłócić. Rolą rodzica jest dbanie o równowagę pomiędzy kluczowymi wartościami oraz ponoszenie świadomego ryzyka, by ukształtować odpowiedzialność u potomka. To jest cel i kres jego starań. Może i paradoksalny – tyle starań, by nie być już więcej potrzebnym – ale właśnie o to w tym wszystkim chodzi. Żeby przekazać pałeczkę. Żeby pokoleniowa sztafeta mogła trwać. Dziecko to wyrok. Dobrze wychowane – 25 lat, źle wychowane – dożywocie. Tej kolejnej ludowej mądrości nie trzeba wcale w całości kupować, by dostrzec jej sens. Za niewychowane (czyli pozbawione odpowiedzialności) dziecko, nasza odpowiedzialność (o ile ją mamy) nigdy się nie skończy.

Jeśli nigdy nie miałeś wrażenia, że twoja piła jest za krótka, to znaczy, że kupiłeś za długą – tak mawiają ponoć skandynawscy drwale. Analogicznie – jeśli nigdy – jako rodzic – się nie bałeś, to znaczy, że twoje dziecko ma zbyt krótką smycz. Z procesu wychowania nie da się usunąć ryzyka i lęku. Odpowiedzialność za siebie i innych kształtuje się także dzięki porażkom. Nie należy ich unikać za wszelką cenę, trzeba jednak o nich wiedzieć i wyjaśniać przyczyny. Mieć dla dziecka czas i cierpliwość. Uczyć go samodzielnego rozwiązywania problemów i ponoszenia konsekwencji. A kasa i święty spokój? Na emeryturze. Inaczej spokojnej emerytury nie będzie.

I jeszcze raz. Do skutku. W pogoni za absolutnym bezpieczeństwem rezygnujemy z wolności.

Bez wolności, czego nie chcemy dostrzec, odpowiedzialności nie da się ukształtować, a zatem jakiekolwiek marzenia o przyszłym bezpieczeństwie są tylko pobożnymi życzeniami, bo bez odpowiedzialnych ludzi nie ma bezpiecznego świata.

Kółko się zamyka. Politycy, ukształtowani w tym systemie też nie mają szans. Pozostaje modlitwa o dobrego pana, zewnętrzną siłę, która da radę,

skoro sami nie chcemy i nie potrafimy. z własnej woli stawiamy się w roli niewolników na plantacji.

Czy można coś na to poradzić? Nie wiem, ale może nie wszystko jeszcze stracone? Taką mam nadzieję i nie czuję się odosobniony. Jeśli miałoby być jak jest, to całą twórczość Astrid Lindgren należałoby surowo potępić, a już z całą pewnością bezpowrotnie wykreślić z kanonu lektur. Jest dysfunkcjonalna. Jednak nikt nawet o tym nie myśli. Arkadia przyciąga. Chcemy, by nasze dzieci choć w tej, literackiej formie, uzyskały dostęp do naszych doświadczeń. Poczuły czym jest wolność.

Powstają place zabaw do których rodzice nie mają wstępu i wglądu. Niby erzac, bo ktoś jednak pełni funkcję nadzorcy, ale atrakcyjny dla dzieci nieznających realiów dawnego świata. Przewrotną, z całą pewnością niezamierzoną, nadzieję dają reklamy odwołujące się do poczucia wolności. Wprawdzie zakup samochodu czy napoju nie ma z wolnością nic wspólnego, ale reklama poświadcza pośrednio atrakcyjność tej wartości. Czy to wystarczy do zmiany trendu? Nie wiem.

Nie mam zamiaru niczego radzić lub nie radzić. Nie mam zaufania do pedagogicznych teorii, bo każde dziecko wymaga indywidualnego traktowania. Wychowanie należy do rodziców i każdy z nich zrobi to, co uzna za słuszne. Nikt z nich nie zdejmie tej pierwotnej, archetypicznej wręcz, odpowiedzialności za życie, które powołali do życia. Dostrzegam jednak poważne zaburzenie międzypokoleniowego transferu wartości. W obliczu medialnych strachów i szaleńczego tempa zmian świata w którym żyjemy, bezrefleksyjna tradycja wychowawcza okazuje się równie nieskuteczna, jak paniczna hiperodpowiedzialność. Nie formułuję rewolucyjnych postulatów, namawiam tylko do zastanowienia się oraz poszukiwania i wykorzystywania każdej (zgodnej z prawem) okazji do kształtowania odpowiedzialności u swoich dzieci. Inaczej czeka nas (czyli także ich) marny koniec. Dobrze skalkulowane ryzyko się opłaci.

Dzieci nie są głupie.

Następnych tekstów tego typu nie będzie, bo ileż można pisać za darmo, narażając się na zarzut grafomanii. Wszędzie jest tak samo, w medycynie, wymiarze sprawiedliwości, administracji… w dowolnej dziedzinie naszego życia, a proces wychowywania ma na to niebagatelny wpływ. Urzędnik, który nie wydaje decyzji, tylko żąda kolejnego papierka, żeby odpowiedzialność rozmyć. Lekarz, który nie leczy, tylko zleca kolejne, zbędne już badania, mające być jego dupochronem. Sędzia, który unika sądzenia jeśli tylko ma okazję. Taki świat budujemy. Najważniejsze są regulaminy, programy, tabelki, procedury i algorytmy. Te ostatnie, to wręcz ideał, dzięki rzekomo naukowej bezstronności odpowiedzialność spływa bez śladu. Byle nikt się nie przyczepił. Powstaje system, który premiuje skrajny konformizm. Idealnym nadzorcą będzie sztuczna inteligencja. Z pozbawionymi odpowiedzialności, behawioralnymi automatami świetnie sobie poradzi. Zostaniemy niewolnikami, o ile do czegokolwiek będziemy jej potrzebni.

Jerzy *„Jerzy”* Kubok

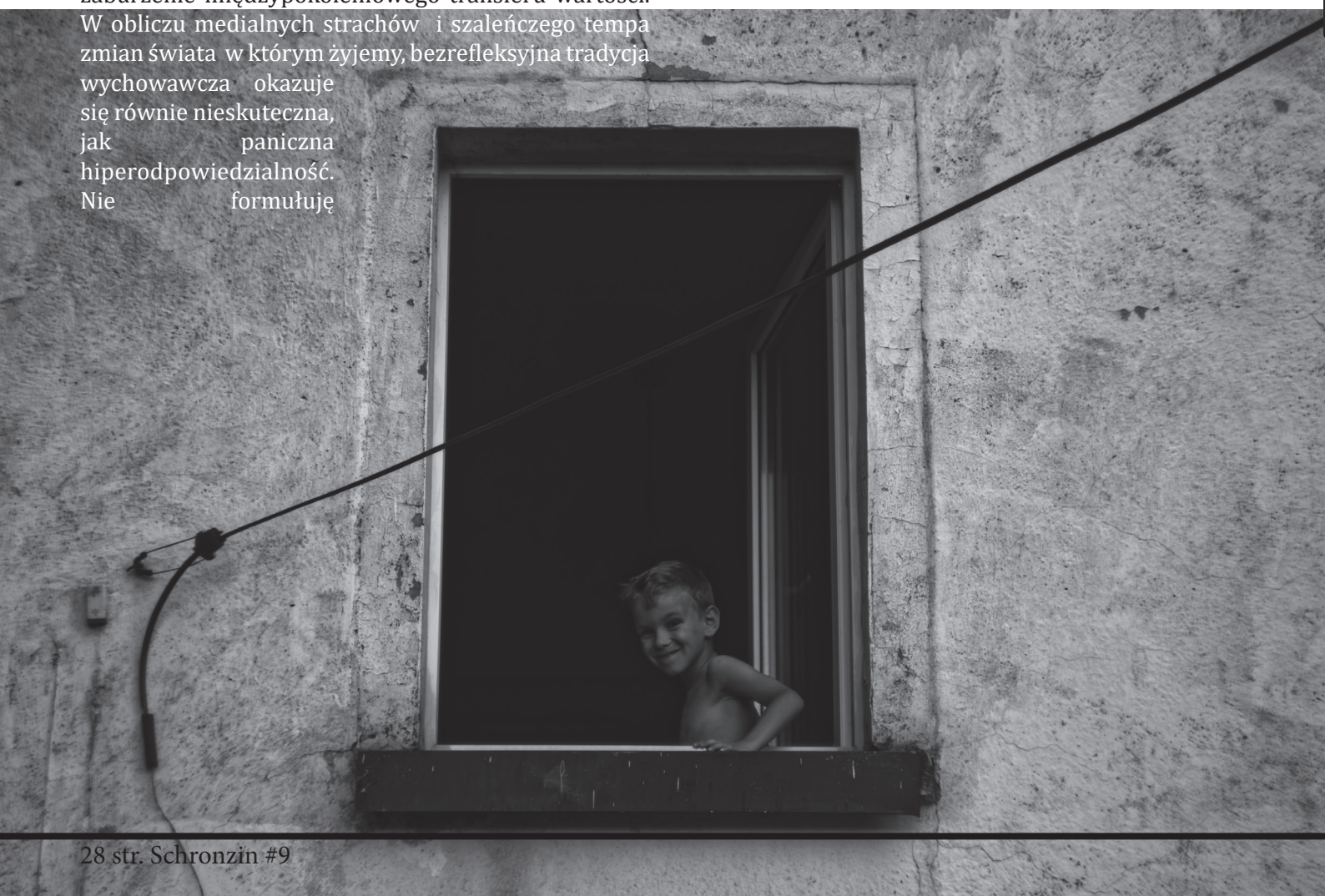

SZCZĘŚCIE W NIEWOLI

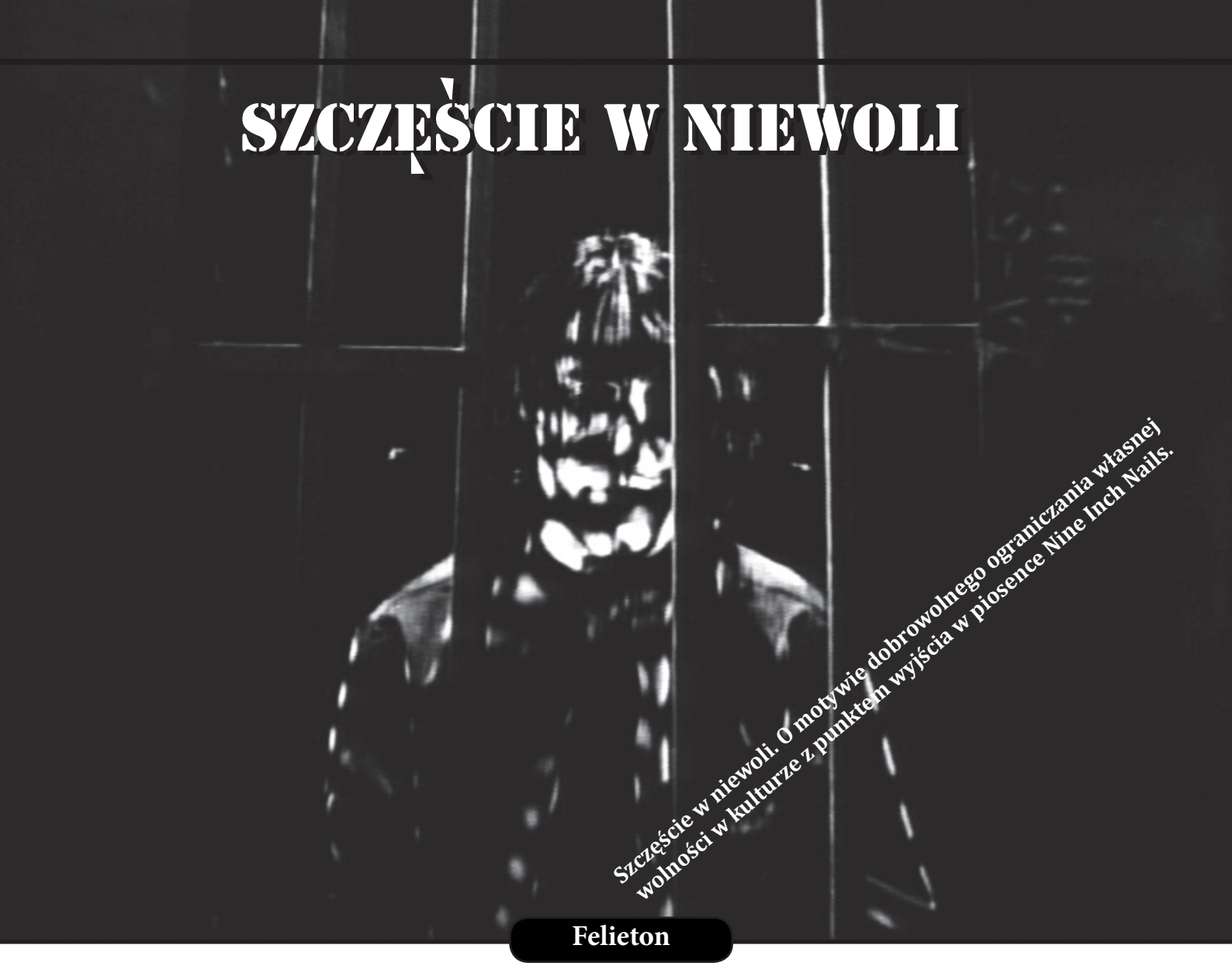

Szczęście w niewoli. O motywie dobrowolnego ograniczania własnej wolności w kulturze z punktem wyjścia w piosence Nine Inch Nails.

Felieton

Ludzie na ogół chcą być wolni. W teorii wszyscy rodzą się wolni i są równi pod względem swej godności i swych praw. Wolność, rozumiana dualistycznie jako wolność od przymusu (tzw. negatywna) i wolność do działania (pozytywna) stały się jednymi z najważniejszych wartości wyznawanych we współczesnym świecie. Różnice w programach partii politycznych w dużej mierze sprowadzają się do definicji wolności i tym, co faktycznie powinno być dozwolone, a co nie – zakres dozwolonych zachowań w miejscach publicznych, relacjach międzyludzkich i własnych domach; co można mówić, a czego nie, kogo i jak krytykować i obrażać; czego uczyć i co pokazywać w sztuce. Co jednak, jeśli ktoś w jakimś stopniu odrzuca tę wolność? I dlaczego można tego w ogóle chcieć?

Niewolnik krzyczy; myśli, że wie, czego chce

W 1992 roku ukazał się album „Broken" zespołu Nine Inch Nails. Okładka jest bardzo minimalistyczna i nie sugeruje zbyt wiele odnośnie treści płyty. Technicznie rzecz biorąc, była to jedynie EPka, z tylko sześcioma utworami (i dwoma coverami ukrytymi na ścieżkach 98 i 99 po dwóch minutach ciszy). Była to produkcja znacznie ostrzejsza od debiutu, jak i od każdej kolejnej płyty. Dobrze przyjęta wśród fanów jak i krytyków – aż dwa utwory uzyskały nagrody Grammy. „Wish" (jak się okazuje w późniejszych latach, bardzo wdzięczny do coverowania przez masę wykonawców, od Linkin Park po polski Behemoth) za najlepsze metalowe

Okładka albumu Nine Inch Nails „Broken"

wykonanie w 1992 oraz, w tej samej kategorii, „Happiness in Slavery" w 1995 roku po dzikim wykonaniu na amerykańskim festiwalu Woodstock. Warto zaznaczyć, że NIN nawet nie jest zespołem stricte metalowym! Więcej nagród w metalowej kategorii od początków historii zyskała tylko Metallica, a również po dwie Slayer, Black Sabbath i Tool. I ta druga nagrodzona piosenka jest punktem wyjścia do moich rozważań na temat wolności i niewoli.

„Happiness in Slavery" to ponad pięciominutowa, szybka (allegro, 120 BPM) industrialna młócka z dużym naciskiem na przetworzoną perkusję. zniekształcony, agresywny głos Trenta Reznora, ostre gitary i charakterystyczne syntezatory. W zwrotkach niewolnik próbuje zaznaczyć swoją indywidualność i wolę, podczas gdy w refrenach jest mowa o znalezieniu szczęścia w niewoli. Niby krzyczy o zniszczeniu systemu, a jednocześnie jest zadowolony, będąc przykutym do ściany. Łatwiej mu zamknąć oczy, podążać za innymi, wykonywać polecenia, bo w zamian ma poczucie bezpieczeństwa i stabilność. Jakkolwiek niektóre źródła mówią o piosence jako metaforze przemysłu muzycznego z muzykami jako niewolnikami i wytwórniami jako panami (Reznor popadł wówczas w konflikt z wytwórnią TVT i cała płyta była nagrywana wbrew ich zaleceniom odnośnie łatwego, chwytliwego hitu), łatwo dostrzec uniwersalność przekazu. Społeczeństwo zniewolone przyjemnością, stabilnością i obietnicą bezpieczeństwa, gdzie każda jednostka jest tak mało istotna, a jednocześnie wydaje jej się, że ma coś do powiedzenia. Wmawianie sobie, że się lubi taki stan rzeczy, by zamaskować faktyczne zniewolenie. Być może nieco bardziej w stronę wizji Huxleya niż Orwella. W kontrowersyjnym teledysku będącym częścią Broken Movie Petera Christophersona (tak brutalnego, że do dziś krąży tylko w nieoficjalnym obiegu) przekaz ten został ukazany jeszcze bardziej dobitnie, pokazując mężczyznę granego przez Boba Flanagana (nieżyjącego już chorego na mukowiscydozę performera-masochistę), który dobrowolnie, a nawet z namaszczeniem, daje się torturować maszynie, podczas gdy na jego twarzy maluje się zadowolenie aż do ostatnich chwil, kiedy to zostaje przez ową maszynę zmasakrowany. Kiedy w ostatniej chwili do pomieszczenia wchodzi kolejny mężczyzna, tym razem sam Reznor, puentą zdaje się być, że nigdy nie zabraknie kolejnych chętnych do wyniszczenia przez toksyczną relację z systemem, czy chodzi o przemysł muzyczny, przyjemności oferowane przez współczesny świat czy jakąkolwiek inną formę zniewolenia jak choćby dyktatura. Pomijam tu dosłowne traktowanie tej historii, bo choć od XIX wieku mamy na nazwę na takie skłonności (ku niezadowoleniu autora „Wenus w futrze"), to jestem przekonany, że piosenkę należy traktować jedynie w wymiarze metaforycznym. Sam tytuł jednakże pochodzi w zasadzie z dość dosłownej i obrazowej „Historii O" Francuzki Anne Desclos.

> slave screams he thinks he knows what he wants slave screams thinks he has something to say slave screams he hears but doesn't want to listen slave screams he's being beat into submission (pierwsza zwrotka utworu "Happiness in Slavery" Nine Inch Nails)

Szczęśliwi niewolnicy są najgorszym wrogiem wolności

Możemy zauważyć, że motyw zadowolenia z niewoli przewija się w fikcji. Strona TV Tropes zajmująca się katalogowaniem motywów w kulturze (książki, filmy, seriale, muzyka i inne) wyróżniła ten jeden motyw właśnie tytułem piosenki Nine Inch Nails. Czytelnika wita cytat Marie von Ebner-Eschenbach: „Szczęśliwi niewolnicy są najgorszym wrogiem wolności". Troperzy wyróżniają cztery podstawowe typy motywów związanych ze szczęściem w niewoli:

- ukochany sługa (Beloved Servant): zniewolona postać jest doceniana i nagradzana przez względnie dobrego pana i z tego powodu pozostaje wobec niego lojalna, ale wciąż nie może odejść ani nawet wyobrazić sobie idei ucieczki od pana;

- służalczy lizus (Cringing Bootlick): niewolnik jest traktowany źle, a mimo to pozostaje lojalny ze względu na dług wdzięczności, masochizm albo nadzieję na rewanż. Cierpi na syndrom sztokholmski albo po prostu nie zna lepszej opcji. Często niewolnik w imię miłości albo typowy archetypiczny Igor;

- dysonans wartości kulturowych (Cultural Values Dissonance): wbrew naszemu współczesnemu pojmowaniu wolności jako wartości, postać należy do kultury lub rasy, dla której naturalnym stanem jest niewola bądź nie zna innego życia i z tego powodu potrzebuje pana.

- niewolnictwo jest mniejszym złem (Slavery Is the Lesser Evil): kiedy niewolnictwo okazuje się lepszym rozwiązaniem niż jakikolwiek inny stan, jaki postać może znaleźć na wolności;

Nawet jeśli możesz stać się wolnym, raczej skorzystaj z niewolnictwa

Streszczę więc pokaźną listę dzieł wykorzystujących motyw szczęścia w niewoli spisaną na TV Tropes. A jest on oczywiście „starszy niż feudalizm". Przekazy historyczne, święte księgi, mity i legendy z różnych stron świata wspominają o szczęśliwych niewolnikach. W czasach Starego Testamentu niewolnikami zostawali albo jeńcy wojenni, albo biedni Hebrajczycy, którzy

sprzedawali się w niewolę. Zdarzali się też obywatele obcych narodów, którzy chcieli uniknąć wojny z Izraelitami. Jednakże pozycja niewolnika, szczególnie rodaka, według prawa żydowskiego była nieco bardziej uprzywilejowana niż w innych narodach. Dlatego nie dziwi aż tak bardzo, że Biblia podaje przykłady szczęśliwych niewolników, a nawet wprost zaleca korzystanie z tego stanu i posłuszeństwo panom. „Niewolnicy, bądźcie we wszystkim posłuszni doczesnym panom, nie służąc tylko dla oka, jak gdybyście się mieli ludziom przypodobać, lecz w szczerości serca, bojąc się [prawdziwego] Pana" (Kol 3, 22). Niewolnik służący panu na Ziemi w duchu wciąż ma ponad niego swojego Boga. „Zostałeś powołany jako niewolnik? Nie martw się! Owszem, nawet jeśli możesz stać się wolnym, raczej skorzystaj [z twego niewolnictwa]! Albowiem ten, kto został powołany w Panu jako niewolnik, jest wyzwoleńcem Pana. Podobnie i ten, kto został powołany jako wolny, staje się niewolnikiem Chrystusa" (1 Kor 7, 21-22). Jakub oddał się w niewolę krewnemu Labanowi, by pracować u niego przez siedem lat w zamian za poślubienie jego córki Racheli po odzyskaniu wolności.

slave screams he's
going to cause the
system to fall
slave screams but he's
glad to be chained to
that wall
(fragment drugiej
zwrotki utworu
"Happiness in Slavery"
Nine Inch Nails)

Kochał ją jednak tak mocno, że lata niewoli minęły mu bardzo szybko. Podstępny Laban oddał mu jednak starszą Leę, ponieważ zwyczaj nakazuje wydać za mąż najpierw starszą córkę i dopiero po kolejnych siedmiu latach służby oddał mu jako drugą żonę Rachelę. Józef podczas niewoli w Egipcie był, technicznie rzecz biorąc, niewolnikiem, ale radził sobie tak dobrze, że jego pan dawał mu wiele swobody. Islamskie imię Abdullah oznacza sługę lub niewolnika Boga. Relacja człowieka z Bogiem lub bogami na ogół przypomina relację pan-niewolnik, przy czym często ów pan jest ukazywany jako miłosierny i dobry, dający wiele swobód, ratujący od niebezpieczeństw, które grożą na „wolności" i jedyną alternatywą jest niewola grzechu, zatem jedyna wolność jest w nim, dlatego wyznawca nie widzi w nim pana, a przyjaciela, który daje mu wszystko, w zamian żądając jedynie posłuszeństwa. W podaniach z innych krajów motyw również się pojawiał. Niech za przykład posłuży relacja greckiego herosa Bellerofonta, który ujarzmił pegaza magiczną uzdą. Jednak nawet po jej zdjęciu, wierzchowiec pozostawał posłuszny, akceptując swoją niewolę. Psyche, na boski rozkaz, została poślubiona zupełnie obcemu Kupidynowi. Choć z początku było jej smutno, zdała sobie sprawę, że Kupidyn był dla niej dobry do tego stopnia, że była w stanie podróżować do Hadesu, krainy umarłych, by go móc znów spotkać.

Literatura od wieków eksploruje podejście do niewoli w różnych jej formach. Jak zostało wspomniane wcześniej, określenie szczęścia w niewoli zostało zapożyczone z francuskiej powieści erotycznej „Historia O". To historia paryżanki, która godzi się na poddawanie się różnym czynnościom natury seksualnej, godnych libertynów, w tym napiętnowana jak rzeczywista niewolnica. Robi to jednak dobrowolnie, a książka jest jednym z przykładów historii o kobiecej uległości na pół wieku przed wątpliwej jakości twórczością pani E. L. James. Tajemnicza wyspa Juliusza Verne'a (1874) ma Neba, byłego południowego niewolnika, który pozostaje posłuszny człowiekowi, który go uwolnił. We Władcy Pierścieni Tolkiena Gríma Gadzi Język zostaje służalczym lizusem (bardzo jasny przykład typu drugiego) wobec czarodzieja Sarumana po tym jak Gandalf usuwa Sarumana z Białej Rady. W młodzieżowej serii przygód Harry'ego Pottera J. K. Rowling domowe skrzaty przejawiają absolutnie posłuszną postawę, będąc niewolniczą rasą (typ trzeci). O przykładach z Pieśni Lodu i Ognia George'a R. R. Martina wspomnę przy później, bo Gra o Tron świetnie to ukazała wizualnie, adaptując książki na mały ekran.

Dilbert, Scott Adams, tłumaczenie własne

Ja odnalazłem, ty też możesz znaleźć szczęście w niewoli

Jeśli chodzi o film i seriale, wśród licznych przykładów można wymienić postać granej przez Jodie Foster nieletniej prostytutki z Taxi Drivera czy niewolników z Manderlay wolących sprawdzoną plantację niż nieznany zewnętrzny świat. Dla Cyphera w Matriksie zaakceptowanie rzeczywistości jako jedyną możliwą opcję, bo jest z jego perspektywy po prostu normalnym życiem i nie widzi powodu, dla którego warto ryzykować jego utratę. Stephen z Django, niewolnik, który zyskał komfortową wysoką pozycję wśród swojej kasty. W wielu wątkach w „Atlasie chmur", ale chyba najbardziej widoczne na przykładzie Sonmi i jej sióstr, które jako androidy zostały po prostu zaprogramowane do szczęścia w niewoli. W „Grze o Tron „grupa niewolników-żołnierzy zwanych Nieskalanymi na kontynencie, w którym niewolnictwo jest legalne, została wychowana w ten sposób, że nawet po wyzwoleniu przez Daenerys Targaryen nie są w stanie szukać innego życia i wolą służyć jej, choć teoretycznie są wolni. Stamtąd pochodzi też jeszcze jeden ciekawy przykład, kiedy do królowej Daenerys przychodzi wyzwolony niewolnik,

Bob Flanagan w teledysku Nine Inch Nails „Happiness in Slavery”

który prosi ją o pozwolenie na odsprzedanie go byłemu panu, bo ten traktował go dobrze, a nawet uczył jego dzieci, podczas gdy po wyzwoleniu alternatywą jest życie na ulicy. Królowa sugeruje spisanie kontraktu, by były niewolnik dostawał wynagrodzenie za swoją pracę, ale to ryzykowna decyzja biorąc pod uwagę, że nie umknie to uwadze byłym panom. Inny serialowy przykład pochodzi z „Opowieści podręcznej”, gdzie wiele kobiet jest zadowolonych ze swojej roli i tylko nieliczne są zdecydowane walczyć z systemem, wiedząc, że wiąże się to z utratą bezpieczeństwa. W „Family Guyu” gadający pies Brian musi zmagać się z psim instynktem, który każe mu słuchać poleceń ludzkich panów. Bo zwierzęta, jak już było pokazane na przykładzie mitycznego pegaza, pomimo tego, że stają się całkowicie zależne od swoich panów, mogą czerpać radość z posłuszeństwa. Bez pana nie dostawałyby tak wiele od życia, łatwo to sobie zobrazować na przykładzie właśnie domowych psów i tych zdziczałych, walczących o każdy kęs i własne życie.

don’t open your eyes you
won’t like what you see
the blind have been
blessed with security
don’t open your eyes take
it from me
I have found
you can find
happiness in slavery
(refren utworu
“Happiness in Slavery”
Nine Inch Nails)

W grach komputerowych również można znaleźć mnóstwo przykładów. W serii Fallout temat niewolnictwa jako konsekwencji upadku rządów i prawa jest obecny od początku - Fallout 3 w okolicach Waszyngtonu można spotkać Clover, która kocha kogokolwiek, kto jest jej panem, zaś w DLC The Pitt w Pittsburghu jest niewolnik bandytów, który co prawda wspomina, że nawet chciałby być wolny, ale ponieważ to się zapewne nie zdarzy, stara się być posłuszny i tak szczęśliwy, jak to tylko możliwe. Niewolnicy w Dragon Age II również nie znają lepszej rzeczywistości, dlatego nawet nie próbują uciekać. W innej serii fantasy, The Elder Scrolls, mag może przyzwać Dremory, inteligentne demoniczne byty, które nienawidzą śmiertelników, więc godzą się na przyzwanie z ich świata, by mieć okazję do zabijania ich. W strategii science fiction Starcraft istnieje rasa podróżujących przez kosmos Overlordów, którzy dobrowolnie zgadzają się na asymilację przez agresywnych, prymitywnych i pasożytniczych Zergów - overlord staje się jednym z podstawowych „zasobów” podczas gry Zergami, jako

Siedziba łowców niewolników w grze Fallout 2 (Interplay 1998)

celu. Obrazuje to, że przywiązanie może wynikać z tego, że ktoś jest dla nas bardzo dobry bądź bardzo zły.

Jak widać, szczęście w niewoli to dość popularny motyw w kulturze popularnej, ukazujący, że z różnych powodów – czy to z chęci uwolnienia się od męki wyboru, czy to z masochizmu, czy po prostu przyzwyczajenia – ludzie są w stanie traktować niewolę jako stan pożądany. Lepiej jednak nie wracać do czasów, kiedy niewolnictwo było na porządku dziennym i trzeba było wytworzyć pewne mechanizmy obronne, by radzić sobie z zastanym porządkiem rzeczy. Dziś na całe szczęście mamy wybór, a niewolnictwo i pozbawienie praw są uważane za jedną z najokropniejszych krzywd, jaką można wyrządzić człowiekowi. Pozostaje mieć nadzieję, że przyszłość nie zmierza w kierunku dystopijnych powieści, a „Happiness in Slavery" nie będzie tak skutecznie odnajdywało odzwierciedlenia w rzeczywistości.

Kamil *„Wrathu"* Kwiatkowski

że od ich ilości jest uzależniona możliwa liczebność wojsk. Innymi słowy, Overlordowie dobrowolnie służą za pokarm kosmicznych pasożytów. W Oddworld Abe's Oddysee rasa Glukkonów szczęśliwie służy swoim najeźdźcom, nieświadoma (aż do pewnego dnia), że ci przerabiają ich na jedzenie. W Planescape Torment, by tak spiąć akapit dwoma arcydziełami komputerowych RPGów, jest kilka przykładów konkretnych postaci przejawiających mniej lub bardziej świadomie to podejście. Troje członków drużyny nieśmiertelnego człowieka z amnezją, Bezimiennego (głównego bohatera bądź antybohatera, zależy od gracza) - Ignus, Dak'kon i Morte są w pewnym stopniu „niewolnikami". Ignus jest szalonym piromanem, dla którego liczy się tylko ogień i jedyna osoba, od której decyduje się przyjmować polecenia, to Bezimienny, który w jednym z poprzednich żywotów był jego panem i nauczycielem. Dak'kon jest związany długiem za uratowanie życia, którego nie może spłacić, dlatego nie może odmówić Bezimiennemu nawet kiedy ten jeszcze nie jest świadomy tej zależności i co zaszło dekady wcześniej. Latająca czaszka Morte zaś, niezależnie od tego jak źle był traktowany przez poprzednie wcielenia Bezimiennego, zawsze wraca i ciągle odczuwa żal za to, że kiedyś doprowadził do jego śmierci, choć nawet nie ma dowodu na to, że to faktycznie była jego wina. Po prostu nie może sobie wyobrazić izolacji od „szefa". Warto zaznaczyć, że od gracza zależy, jak będzie traktował swoich towarzyszy - czy będzie dbał o nich i ich uczucia do tego stopnia, że niewolniczy element nie będzie w ogóle zauważalny, czy może będzie przejawiał okrucieństwo i wyrachowanie i traktował ich jak narzędzia do osiągnięcia

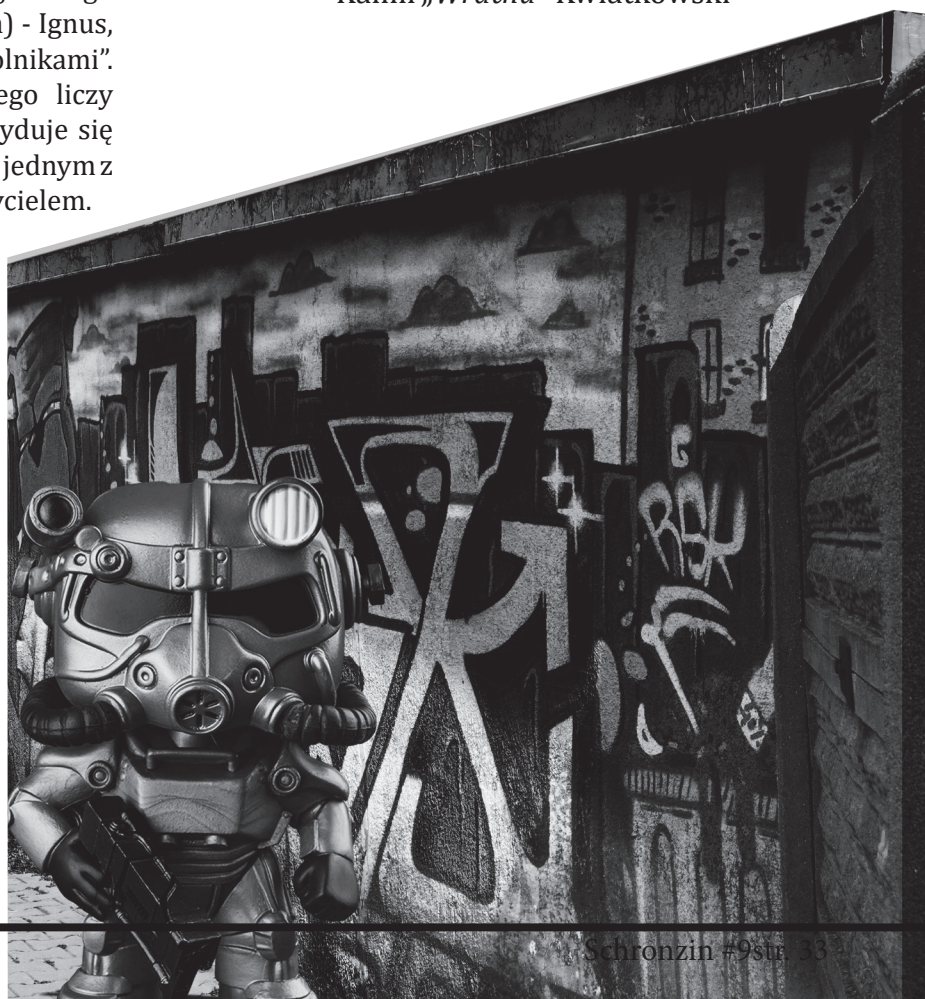

NIE STRZELAJ DO PIANISTY
STRZEL SE PARTIE

OTWARTE ŁAMY

Nie łam się nasze łamy są otwarte

Zamykające numer Otwarte łamy są jedynym tekstem napisanym niedługo publikacją. Nieszczęśliwe zbiegi okoliczności opóźniały prace, a szacunek wobec zewnętrznych autorów, których zaprosiliśmy do współpracy przy kolejnym numerze, skłonił nas do zaburzenia chronologii. Dziesiąty wydaliśmy wcześniej (23 lutego), na wiele miesięcy przed obecnym – dziewiątym.

Większość naszych artykułów które trafiły do tego Schronzina została napisana ponad dwa lata temu. Okazało się jednak, że schronowa Emanacja wie co robi, przewrotnie czuwa nad Załogą. Opóźnienie wyszło na dobre, bo dopiero teraz – podczas pandemii – artykuły mogą liczyć na uwagę czytelników i odbiór zgodny z intencjami autorów.

Zapraszanie do współpracy - w świetle powyższych wywodów - zakrawa na kpinę urągającą inteligencji czytelnika. Logicznie rzecz biorąc warunki są nie do przyjęcia. Jednak zawsze można liczyć na troskliwą Emanację, która – jak się okazało – nie tylko wpierdol wymierza. Zapraszamy więc.

Co w następnym numerze? To się okaże. Twoja inwencja – potencjalny autorze – nie została żaden sposób skrępowana. Nasze łamy są otwarte dla każdego, kto potrafi składnie pisać po polsku i ma coś ciekawego do powiedzenia. Różnorakie obrazki też są mile widziane. Działamy niekomercyjnie, nie należy się więc spodziewać gratyfikacji. Nie możemy też precyzyjnie podać terminu publikacji. Nadesłane materiały pozostaną własnością autorów.

CZEKAMY!

schronzin@trzynasty-schoron.net

Archiwalne numery Schronzina dostępne na naszej stronie

Trzynasty Schron istnieje od 1999 roku i jest ewenementem w sieci. Mało która niekomercyjna strona internetowa pamięta jeszcze poprzednie tysiąclecie. Jeśli chcesz nas wspomóc w wydaniu kolejnego numeru będziemy wdzięczni za wpłaty na konto:

Kolektyw Trzynasty Schron
ul. Żwirki i Wigury 6/7
83-000 Pruszcz Gdański
NIP: 6040187396
Konto: 91 1600 1462 1832 1028 7000 0001

W tytule przelewu należy umieścić frazę „**Darowizna na cele regulaminowe - Schronzin**" oraz wpisać dane które darczyńca chce upublicznić.

Przyjmujemy również inne formy pomocy: pomysły, teksty, grafiki, a szczególnie dobre słowo.

Schronzin jest własnością Kolektywu Trzynasty Schron. Wszystkie treści umieszczone w tym zinie są własnością ich autorów i podlegają ochronie prawa autorskiego. Kopiowanie i przetwarzanie bez podania informacji o autorze jest zabronione.